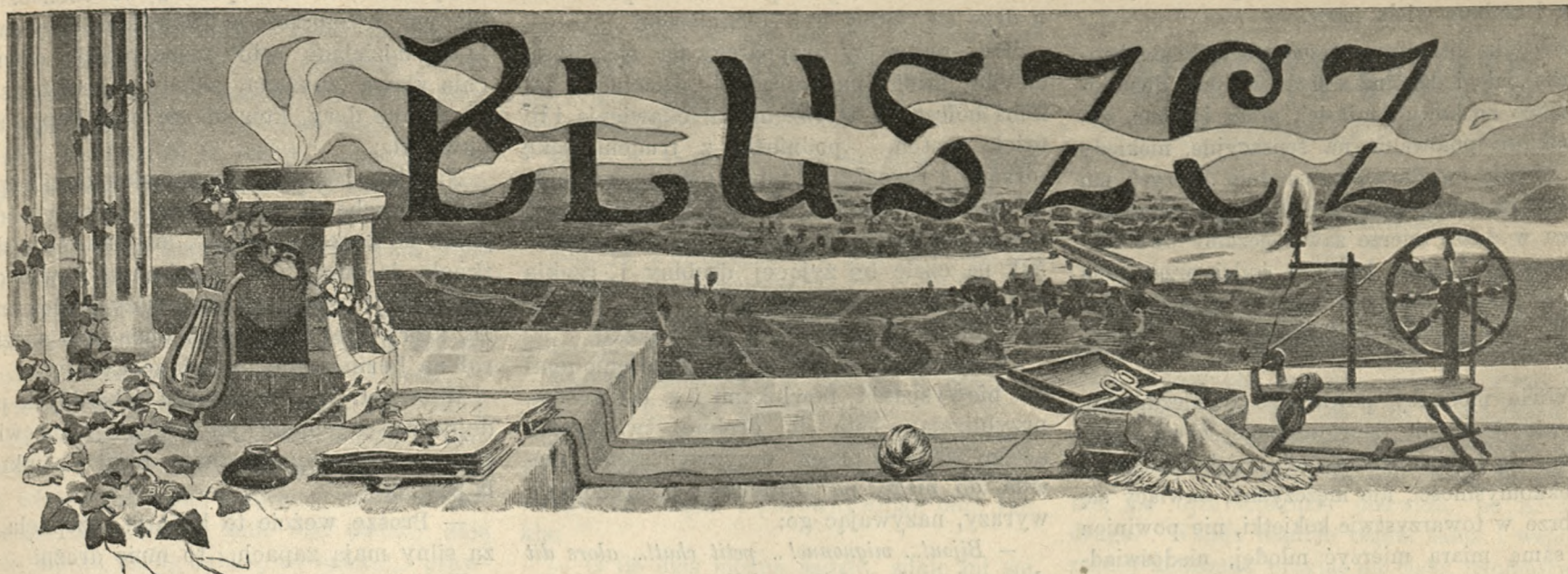




PISMO TYGODNIOWE ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rub. 7 kop. 20; półrocznie rub. 3 kop. 60; kwartalnie rub. 1 kop. 80 miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rub. 2 kop. 50. rocznie rub. 10.
Cena numeru pojedynczego kop. 20.

Redaktor: Maryan Gawalewicz.

Wydawca: Piotr Laskauer.

Ekspedycja Główna przy ulicy Nowy-Swiat Nr. 41.

Ogłoszenia przyjmuje Administracja „Bluszcza” po kop. 15 za wiersz petitem lub za jego miejsce.

W Cesarstwie Austriackim we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie zlr. 3; na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W Krakowie: u D. E. Friedleina: kwartalnie zlr. 2 cent. 75, na prowincji z przesyłką pocztową zlr. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskim u Leitgera i Spółk. kwart. 5 marek.

Przed nowym kwestyonaryuszem.



Tak zwany ruch kobiecy, obudzony dziś we wszystkich cywilizowanych krajach, jest pocieszającym i sprawiedliwym objawem życia społecznego, jak każda walka z niedorzeczными przesadami i z niesłusznym prawem; cel jego, w poważnym, dodatnim znaczeniu, jest idealny i piękny. Wprowadza nowe siły do życia ludzkości, bezczynnym daje pracę, niezadowolonym przynosi zadowolenie, powołuje do życia i światła tyle młodych, świeżych i zdrowych ziarn, że można nie zwracać uwagi, jeżeli czasem w pośród nich wyrasta zielsko.

Jedno tylko dziwi mnie zawsze niepomąłu; wszędzie prawie, gdzie mówione jest i pisane o ruchu kobiecym, wyrazy: mężczyzna i kobieta, występują wciąż jeszcze w dawnym tych wyrazów pojęciu, są jakby przedstawicielami dwóch odrębnych gatunków. Według owych pojęć dwa te gatunki stanowią dwa mniej lub więcej wrogie sobie obozy, a ruch kobiecy, mimo, iż tak odważnie i wytrwale występuje w obronie praw osobistych, mimo, iż tak dzielnie walczy przeciw utartym szablom i niesprawiedliwemu podziałowi wielu przywilejów, nie zerwał jeszcze zupełnie z owym dawnym pojęciem.

Czy mężczyźni nie mogliby w znacznej mierze dopomóc do jego usunięcia? Jest przecie wielu, którzy na kwestyę kobiecą zapatrują się poważnie, bez z góry powziętych uprzedzeń, jest wielu ojców i mężów, którzy przyznają, że warunki, w jakich żyjemy, musiały wytworzyć dla kobiet szersze i swobodniejsze pola pracy, którzy w kobiecie nie widzą jedynie bawidła, albo istoty pod

względem duchowego bogactwa po macoszemu przez naturę odartej, — niechajby więc tacy otwarcie wypowiadać się chcieli.

Mieliśmy już kwestyonaryusz, wystosowany do panien, mieliśmy następny, wystosowany do matek. I te, i tamte, z rozmaitego punktu widzenia ciekawe na życie wypowiedziały nam poglądy, — jakże ciekawym byłby, dla ogółu inteligentnych kobiet, kwestyonaryusz, któryby w odpowiedziach obejmował zapatrywania i sądy mężczyzn, bądź to młodych ludzi, wnoszących w życie nowe dążenia i poglądy, bądź doświadczonych, starszych, patrzących bezstronnie na nieustające usiłowania ze strony kobiet w zdobywaniu coraz szerszego zakresu pracy i nauki, coraz nowych placówek dla celowej działalności. Redakcja „Bluszcza” dawno już nosiła się z myślą ogłoszenia kwestyonaryusza do mężczyzn, wzywając ich do wypowiedzenia, po należytych namysle, poważnie, uczciwie odczutego przekonania, jakim, w dzisiejszych warunkach pracy i wymagań społecznych, powinien być ideał kobiety, co jest przyczyną, że mężczyźni coraz trudniej nakłaniają się do zawierania małżeństw.

Odpowiedź na to ostatnie pytanie brzmi zapewne, iż warunki ekonomiczne utrudniają coraz bardziej zakładanie ogniska domowego i utrzymanie rodziny. Człowiek średniej za-
możności, jeżeli go los obdarzy gromadką pociech, zaledwie wystarczyć może na ich najniezbędniejsze potrzeby, to prawda, ale ruch kobiecy, wytwarzając dla niewiast tyle nowych dziedzin dochodowej pracy i niezaprzeczenie wyrabiając w nich wytrwałą pracowitość, powinienby właśnie korzystnie oddziaływać na statystykę zawieranych małżeństw. Dlaczegoż tak nie jest?

Nie śmiem zdania mego narzucać nikomu, zwłaszcza wobec projektowanego przez Redakcję kwestyonaryusza, ale zdaje mi się, że

dopóty ogół inteligentnych mężczyzn unikać będzie zawierania małżeństw, dopóki nie nastąpi pewna reforma... w miłości.

Reforma w miłości? Jakżeż to brzmi dziwnie, paradoksalnie! Ileż uczuć subtelnych wyraz ten obraża, ilu utartym zaprzecza pojęciom, ile przez szeregi lat uświęconych poglądów obalić pragnie? Co? uczucie, które istniało od początku świata, które było zawsze bodźcem do poruszenia z posad całej ludzkości, ma zostać według jakichś nowych przepisów urobione, zmienione, odświeżone, niby odzież jaka? Czy to nie więcej, niż paradoksalne? to poprostu brutalne, przeciwne etycznym pojęciom kultury!

A jednak tak nie jest. Reforma uczucia, miłością zwanego, daleką jest od powyższych, niekulturalnych właściwości, jest nie tylko potrzebna i możliwa, lecz od pewnego czasu staje się faktem i wymaganiem tej właśnie kultury etycznej, której przedewszystkiem w niczem nie zagraża.

Nie chodzi tu bynajmniej o zagłuszanie głosu serca, który do końca świata dopominać się będzie o swoje prawa, nie chodzi o żadną zmianę w cywilizacyjnej formie uświęconego stosunku dwojga ludzi, przyjętej przez zasady moralności, religii, wreszcie przez prawa państwowe i społeczne, lecz chodzi o nowo zbudowaną, bogatą w niezliczone przyczynki, sofistykę, ukutą ku wygodzie uczucia, które spodobało się ludziom miłością nazwać, chodzi o rozbujaną a wygodną teorię, o brutalność i niezdrowe przerafinowanie w taktyce miłosnej.

Nie tylko w książkach i czasopismach, nie tylko w salonie i na ulicy, lecz i w miejscach, gdzie jawnie występują ludzkie życiowe konflikty, to jest w salach sądowych, gromadzą się z dniem każdym liczniejsze fakty trudnych do rozwiązania zagadnień miłości, któ-

re wołają wielkim głosem o poprawę obyczajów i zmianę wielu praw.

Nietylko literatura (przedewszystkiem francuzka), ale i dziennikarstwo wpływa demoralizująco na kulturę miłości, przez łakome, gorączkowe polowanie na sensacyjne, niekiedy aż ohydne wydarzenia, na dni których malkie rzekomo uczucie miłości. Dziennikarstwu w dużej mierze zawdzięczamy owo lekceważenie kobiet, które u ludzi przeżytych i gołowiących młodzieniaszków dochodzi niekiedy do pogardy bezwstydnej i rażąco wstrętnej.

Wiele możnaby powiedzieć o niezdrowej, prawie do manii doprowadzonej chęci podobania się kobiet dzisiejszych, o ich kokieteryi i lekkomyślności, ale mężczyzna, bawiący się dobrze w towarzystwie kokietki, nie powinien tą samą miarą mierzyć młodej, niedoświadczonej, a uczciwej dziewczyny, która (ntb jeżeli jej serduszek przemówi żywiej), zabawkę bierze za oświadczyny miłosne, pierwszy zaś pocałunek za przysięgę. A ileż to jest takich dziewcząt, których sny złote o miłości rozwiewają się po pierwszym pocałunku.

Nie idzie zatem, żeby reformę miłości rozumieć na podobieństwo amerykańskiego prawa, *breach of promise*, zabezpieczającego niezażenowaną kobietę przed galanterią mężczyzny przekraczającej zwykłe, w salonie przyjęte grzeczności, nie, tylko reforma miłości powinna się często zacząć od zmiany w wykształceniu i wychowaniu naszych synów i córek. Mężczyzna powinien nauczyć się szanować nie tylko matkę swoją, lub jakąś „z tysiąca wybraną,” lecz cały ogół kobiet pracujących pożytecznie i wychowujących dzieci na pożytecznych członków społeczeństwa. Uczucie miłości powinno utracić charakter drażniącej nerwy sensacyi, czegoś wiecznie działającego na zmysły i chorobliwie podniecającego wyobraźnię, człowiek normalny powinien uważać miłość za dobro najwyższe, za wielkie szczęście swego życia, za swoje naturalne prawo i za swój socyalny obowiązek

Zofia Seidlerowa.



Maryan Gawalewicz. ←

J A D.

POWIEŚĆ.



(Ciąg dalszy).

XI.

Przez trzy dni pani Peppa nie zdejmowała z siebie szlafroka; w podwójnej roli troskliwej matki i zakłopotanej babki dźwigała bohaterko ciężar poświęcenia i odpowiedzialności.

Ogarnęło ją nadzwyczajne rozczerzenie od chwili, gdy na własnych rękach podała córecce do ucałowania małe, wątle, słabiuchne dzieciątko, ze słowami:

— Patrzaj!... i dla takiego maleństwa musiałaś się tyle nacierpieć!... Taka kruszyn-

ka, taka odrobina, to prawdziwe *petit rien*, a drze się, jakby był Herkulesem!

Misia przez lzy przypatrywała się długą chwilę swojej pierworodnej dziecinie z jakimś bolesnym wyrazem zaciekawienia i li-tości, potem podniosła z trudem rękę drżącą i rozpaloną i zanim usta przycisnęła do kształtnej główki, pokrytej, jakby pelą meszkiem czarnych włosów, nakreśliła krzyżyk na czole tej żyjącej drobiny i rzekła cichym, znużonym głosem:

— Bądź mi pociechą z Bożej łaski!

Dobrojewska mrugała zaczerwienionemi od niewyspania powiekami i z tkliwością, przybliżając usta do drobnej twarzyczki swego wnuka, przez przyzwyczajenie mówiła do niego po francuzku pieszczotliwe wyrazy, nazywając go:

— *Bijou!... mignonne!... petit chat!... alors dit donc quelque chose, fait une jolie grimace!...* uśmiechnij się do Maman! Widzisz, to twoja mama, a ja jestem babcia, a to twój papa!...

Było jej niezręcznie z dzieckiem w powijakach na ręku, choć usiłowała radzić sobie z niem, jak mogła, udając doświadczoną piastunkę.

— Będiesz się nazywał Henri, jak twój ojciec! — mówiła do maleństwa, które mrużyło senne oczki i poruszało usteczkami, krzywiąc się nieustannie i wydając piskliwe tony, obojętne i nieczule na wszystko.

— Musicie mu dać trzy imiona!koniecznie! — przekonywała zięcia, — najprzód twoje, bo tak się należy, potem to, które sobie przyniósł na świat... a jakiego dziś świętego?... trzeba zaraz zobaczyć w kalendarzu, a na trzecie jakieś ładne, niezwykle np. Sylweryusz, albo Apoloniusz, albo Xawery!... Ksawcio!... to brzmi tak niepospolicie.

Henryk przejęty pierwszym wrażeniem ojcowstwa, nie słuchał jej paplaniny, przystawał przy łóżku żony i spoglądał na nią w milczeniu, poważny, zamyślony, nie mogąc ani na chwilę zapomnieć ostrzeżeń lekarza, który mu po urodzeniu dziecka powiedział:

— Bogu dzięki, wszystko odbyło się lepiej, niżeli przypuszczałem, ale teraz trzeba czuwać, aby się co nie przyplątało, bo organizm żony pańskiej, po takim wstrząśnieniu nadzwyczaj osłabiony. Spokoju, spokoju i jak najwięcej spokoju! Miejmy nadzieję, że wszystko będzie dobrze.

Kazał powynosić kwiaty, które pani Peppa poustawiała córce przy łóżku, utrzymując, że ich woń odświeża powietrze i sprawia przyjemną dystrakcję.

Sama je wносиła do sypialni z gratulacyjnymi biletami od znajomych i przyjaciółek, które dowiedziawszy się o szczęśliwym rozwiązaniu Misi, uczyniły ten piękny *acte de complaisance*, jak się wyrażała i kwiatami ślały drogę nowonarodzonemu dziecięciu.

Najbardziej zaintrygował ją bukiet z białych róż i niezapominajek, pomiędzy którymi pośrodku gorzała jedna wspaniała centofolia.

— *C'est tres gentille!* — powtarzała, — ciekawa jestem ogromnie, kto ci te symboliczne kwiaty przysłał *anonyme!*...

Nie zważała, że Misia była tak wyczerpaną, iż zobojętniała na wszystko a najbar-

dziej na to, co matkę tak żywo obchodziło; bladym, wymuszonym uśmiechem dziękowała za udzielane sobie wiadomości i odwracała głowę znużona, zaledwie spojrzawszy na wonne dary, którymi się pani Peppa zachwycała.

Na białe róże z niezapominajkami popatrzyła trochę dłużej i jakby odczuła sama jedna od kogo pochodziły, instynktownie dotknęła je dłonią, ale w tej samej chwili cofnęła zaraz rękę, zauważywszy wzrok męża, który spokojnie, lecz badawczo spozierał na bezimiennie nadesłane kwiaty.

W oczach jego dostrzegła jakiś błysk podejrzliwości i blade jej policzki zaróżowiły się przez chwilę; zciągnęła brwi i zamknęła powieki.

— Proszę, weźcie te kwiaty! — szepnęła, — za silny mają zapach... to mnie drażni.

Henryk odebrał z rąk świekry podejrzany bukiet i wyniósł go sam do salonu; przecucie podsuwało mu myśl:

— To od niego!

Nawet w takiej chwili nie mógł się oprzeć zazdrości, która jak przykucnięta hydra czaiła się w głębi jego serca.

Przez pierwszych kilka dni stan chorej nie przestawał budzić obawy.

— Żeby nam tylko gorączka nie zrobiła jakiego figla! — mówił lekarz, marszcząc szerokie czoło i ze szczególną miną badając chorą, która leżała całemi godzinami na wznak, pogrążona w sennej apatyi i zdawała się drzemać.

— Musimy wzmacniać siły, — powtarzał; — najgłówniejsza rzecz teraz pozbyć się tego osłabienia. Dalszy upadek sił mógłby być fatalnym.

— Czy konsyliarz nie uważa, że dobrze by było zaprosić jeszcze kogo ze specjalistów? — pytał Henryk.

— Sądzę, że na razie byłoby to zbyteczne.

— A później?...

— Zobaczymy. Stan nie jest niebezpiecznym, a objawy bardzo wyraźne. Uprzedzam pana wszelako, że na wszelki wypadek trzeba się przygotować, iż pani będzie musiała wyjechać w krótkim czasie, gdy się podniesie z łóżka.

— Myślałem o tem; uprzedziłem nawet moją matkę. Skoro tylko powróci trochę do sił, wyjedziemy na wieś.

Doktór pokręcił głową.

— To za mało. Mojem zdaniem, należałoby wyjechać gdzieś dalej, w góry, albo nad morze. Rekonwalescencya potrwa zapewne dłużej. Zresztą, to się pokaże.

Panią Peppę wiadomość o projektach wywiezienia córki nie zatroskała wcale; nie obawiała się dla niej żadnego niebezpieczeństwa zagranicą, ożywiła ją nawet nadzieja skorzystania ze sposobności i wyrwania się także z Warszawy, choćby pod koniec zmarowanego sezonu.

— Ależ to się rozumie, że będzie musiała wyjechać! — wołała z najgłębszym przekonaniem; — to było od początku do przewidywania. Pojedziemy razem; ja przecież wiem, jaki na mnie obowiązek ciąży. Nie potrzebujecie mi przypominać tego!... Poświęcałam się zawsze dla mojej córki i to było jedynym celem mego życia; zwłaszcza teraz, —

dodała z westchnieniem, — kiedy mi już nic innego nie pozostaje. Od tygodnia jestem przecież babką, to znaczy, że mi dziesięć lat przybyło!... Czyż tego po mnie nie widać?... Możecie mi to śmiało powiedzieć, ja się zdobyłam na rezygnację z chwilą, gdy mój wnuk na świat przyszedł.

Stawała nad kołyską, załamywała ręce i mówiła niby żartem:

— Widzisz, widzisz *mon bijou*, coś ty ze mnie zrobił!... przez ciebie musiałam się postarzyć o jakie lat piętnaście!... Wiecie?... — zwracała się do Solówny i starej Tanieckiej, która przybyła ze wsi na wiadomość o urodzeniu wnuka, — postanowiłam nigdy więcej nie włożyć już białej toalety!... nawet w kar-nawale nie zobaczy mnie nikt *decollé*; daję wam słowo. Kiedy babka, to babka!... prawda?

Spoglądała jednak na nie tak, jakby oczekiwała zaprzeczenia i perswazyi z ich strony, a nie doczekawszy się niczego, westchnęła smutnie, zawiedziona i przybita tą przymusową rezygnacją.

Minął jeszcze tydzień; stan Misi zaczynał się poprawiać, siły powoli przybywały, młoda natura zwyciężała.

Lekarz stwierdzał codziennie widoczne polepszenie.

— No, spisała się nam pani gracko! — mówił do swojej pacjentki z wesołym uśmiechem, — teraz połączymy jeszcze z tydzień spokojnie, grzecznie, cierpliwie, a potem w nagrodę pozwolę nam przesiadywać w fotelu, a potem... potem pojedziemy na południe. Tylko cierpliwości, tylko tak dalej!...

Dziecko rozwijało się również pomyślnie na dobrym pokarmie mamki, przywiezionej ze wsi przez Taniecką; wypełniła mu się twarzyczka, ożywiły oczy, przybyło ciała, ku wielkiej radości obu babek, biadających z początku nad mizeractwem wnuka.

Pani Peppie powrócił dobry humor; zaczęła wyjeżdżać na spacer do Łazienek i bywać nawet w Dolinie Szwajcarskiej na koncertach, bo się ztęskniła za muzyką, jak powiadała i chciała oswoić się znowu trochę z ludźmi.

Nie mniej za każdą bytnością „u dzieci“ utyskiwała zawsze:

— Ach, nie macie pojęcia, jaka Warszawa teraz nudna!... pozostał tylko *melange*, którego się nigdy nie widuje w zimowym sezonie. Jakies nowe, nieznane fizyognomie, zupełnie jakby z prowincyi. Gdyby nie Henieczek, zanudziłabym się tu z wami na śmierć!

Nad Henieczkiem też zaczynała się zachwycać z przesadą, odkrywając w nim codziennie jakieś nowe zalety i osobliwości.

Któregoś dnia, przyglądając się wnukowi śpiącemu w kolebce, wybuchnęła nagle wesołym śmiechem i zaczęła klaskać w ręce z radości, wołając:

— Mam, mam, mam nareszcie!

— Co takiego? — spytał jednocześnie Taniecki i Misia.

— Mam!... daję wam słowo, jak was Kocham!... teraz wiem, wiem do kogo Henieczek jest podobny!... Co ja sobie nad tem głowę nałamałam, zanim do tego doszłam. Nie

chciałam wam o tem mówić, aby was nie uprzedzać, ale teraz... No, przypatrzcie mu się tylko!... przypatrzcie dobrze!... Kogo on przypomina?...

Misia z czułością złożyła ręce na pierśsiach i wychylona z łóżka spoglądała na dziecko w kołysce.

Henryk z drugiej strony przypatrywał mu się także z uśmiechem.

— Do tej pory podobny jest jeszcze do klusieczki, — zauważył żartobliwie.

Maman Dobrojewska plasnęła w ręce.

— Jaktol!... nie widzicie tego?...

Misia, nie przeczuwając niespodzianki, która ją czekała, przeniosła oczy z dziecka swego na męża i porównyując obu, rzekła:

— O ile dziś można sądzić, zdaje mi się, że podobny do ojca.

— Ależ to wykapany Julek! — zawołała z przejęciem pani Peppa, uradowana z tego odkrycia, które się jej wydawało genialnem i którego wrażenia nawet przewidzieć nie mogła.

— Julek Dobrojewski! no, nie zauważyliście dotąd tego?

Spojrzała na Henryka i Misę, i nagle zamilkła, urywając w połowie naiwny wybuch śmiechu.

Miała minę przestraszonej pensyonarki, która się wyrwała z czemś okropnie ryzykownem i za późno się spostrzegła, że powiedziała głupstwo.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Z rozmyślań jesiennych.



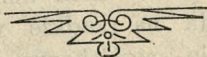
Widzisz, jak jesień barwne plecie wieńce
Z pożółkłych liści na umarłych święto,
Słyszysz, jak wichur zawodzi w piosence
Tęsknej, targając koronę pomietą
Brzozy, płaczącej na dawnej mogile,
Co spi zapadła w zapomnienia pyle.

Oto znów nadszedł dzień tęskny a cichy,
Dzień, co rozbrzmiewa wspomnień wątem echem...
Jesiennych kwiatów rozwiane kielichy
Wznoszą się jeszcze z mdlejącym uśmiechem,
Zwarzone nawpół — prawie konające,
Z ementarnej grzędy patrzą w zbłądłe słońce.

Z ementarnej grzędy, z cichej Bożej roli,
Jak na wyraju chmura szarych ptaków,
Gdy nędza życia minie, gdy przeboli
Trud kamienistych, twardych ziemi szlaków,
W zaświaty lecą duchy wielką siłą
Porwane. — Mileczysz, ty pusta mogiło!

Tak, pusta jesteś, jak młodość bez złudzeń,
Zimna, jak serce bez czystych zachwytów,
W tobie początek wieczystych przebudzeń,
Przez ciebie droga do bezśmiertnych bytów,
Przedśionkiem jesteś, — za tobą bezpieczny
Dom czeka!... Zmarłym odpoczynek wieczny!...

Bożymir.



HISTORIA KOBIETY.

STUDYUM SPOŁECZNE

PRZEZ

Julię Terpiłowską.



(Ciąg dalszy).

U pół-mitycznych początków czesko-polskiego odłamu Słowiańszczyzny, uderzają nas dwie niezwykle postacie kobiece, może ze wspólnego typu, czy też mitu u obu plemion urobione. Po tej stronie Karpat Wanda, po tamtej Lubusza obejmują nad ludem panowanie, po ojcu Krakusie pierwsza, po Kroku druga. Wanda mądrze rządzi sama i współrządcy-małżonka przyjąć nie chce; panieństwo swe bogom poświęca i od oblubieńca Niemca ucieka do sióstr swoich, wodnic Wiślanych, chroniąc aż na dnie rzeki ojczystej drogi skarb narodu i swojej osobistej niezależności.

Lubusza także mądra i energiczna, tak samo nie radaby dzielić panowania z małżonkiem, długo opiera się naleganiom poddanych, którzy niechętnie słuchają niewiasty i woleliby mieć króla, aż raz, gdy podczas sprawowania sądów przez królową, mężowie zaczęli sarkać na wyrok kobiecy, dotknięta Lubusza zgadza się dać im pana, i za wskazówką wieszczby poświęca rolnika Przemyśla. Ten panuje razem z żoną pomyślnie; ale gdy Lubusza umarła, zrywa się bezprzykładna nawet w historii bajecznej burza. Ferment emancypacyjny głęboko utkwiał w sercach poddanych samodzielnej królowej. Natychmiast po jej śmierci jedna z jej dworzanek, Własta, staje na czele licznego niewieściego zastępu i oświadcza stanowczo, że jak poprzednio mężczyźni nie chcieli rządów kobiecych, tak obecnie kobiety nie chcą rządów męskich. Energiczne bojownice wyzwolenia wyrzekają się ujarzmiających związków małżeńskich, i wyniosłszy się na drugi brzeg Węławy, naprzeciw stołecznego Wyszehradu zakładają swój „Diewin-hrad“, czyli gród dziewiczy. Kobiece państwo wytwarza sobie swoją konstytucję, bardzo racjonalną — gdyby była w praktyce możliwą: najmądrzejsze mają tworzyć sejm, najsilniejsze — wojsko, najpiękniejsze przynętę dla usidlania i obywateli męczyzn. W dalszym planie było zawładnięcie całym krajem i obrócenie wszystkich męczyzn w poddaństwo, wyznaczając im w przyszłym społeczeństwie dawne stanowisko kobiet. Mężowie mieli podlegać żonom i pełnić przymusowo prace rolne; aby zaś uniemożliwić w przyszłości zbrojną emancypację mężką, miano chłopców nowonarodzonych pozabawiać prawego oka i palca u prawej ręki.

Pięć lat trwała kobieco-mężka walka, a była krwawa i zjadła, podstępna i okrutna. Amazonki często zwyciężały, ale ostateczna wygrana została przy męczyznach. Własta w boju poległa, Diewin został zdobyty, mury jego z ziemią zrównane, a niewieścia załoga w pień wycięta.

Ów jedyny w podaniach państw nowożytnych epizod miał mieć miejsce około połowy VII-go wieku, a więc na przełomie starego i młodego społeczeństwa, w przejściowym okresie ludzkości, gdy wszystkie jej dotych-

czasowe stosunki i warunki bytowe ważyły się, mocowały i rozpierały z sobą. Lecz był to czas czynu, nie doktryny: faktyczna dążność do prawidłowego unormowania męsko-żeńskich stosunków kielkowała w kształtujących się organizmach społecznych, ale stara zasada poddaństwa kobiety pozostawała teoretycznie nietkniętą. A reformy społeczne nie wytwarzają się samą siłą ciężkości potrzeb, która jest ślepą — więc błąka się i ginie, lecz muszą czerpać życiową trwałość z podkładu sformułowanej świadomości idei. Tego nie było, — więc budząca się społeczna dusza połowy rodu ludzkiego, po krótkiej fazie poczynającego się praktycznie wyzwolenia, usnęła na nowo — i na długo. Inaczej być nie mogło, bo wyzwolenie owo przeprowadzonym być może stanowczo i trwale tylko na polu ideologii: nie przez niemożliwe pokonanie silniejszego, lecz przez konieczne prędkiej, czy później przekonanie logicznego.

Zanim przejdziemy do epoki ponownego zadrzemia tej budzącej się samoistności kobiecej, rzućmy jeszcze okiem nie na poszczególne typowe indywidualności niewieście, lecz na ogólne położenie kobiet tego okresu.

Chcąc zorientować się w pstrej mozaice rozlicznych ludów z drugiej połowy pierwszego tysiąclecia naszej ery, chcąc rozejrzeć się w ich obyczajowym ustroju, musimy zgrupować je szczepowo. Pojedynczych plemion, któreby się czasami wyodrębniały z typu powszechnego, nie możemy brać w rachubę; za normę przyjąć musimy znaczną większość, z pominięciem mniejszości.

Znaczną większością wśród ludów nowożytniej Europy były dwa zasadnicze pierwiastki szczepowe: germański i słowiański. Liczbą i zajęciem obszarem najznacześniejsze, rozłamały Europę na dwie połowy: zachodnią i wschodnią. W pierwszej pierwiastek germański wszędzie się wparł lub wcisnął, wszędzie krew swoją i swoje cechy rasowe domieszał, w drugiej pierwiastek słowiański wpierające się lub wciskające weń obce czynniki wchłonał — i w swą własną rasowość przeistoczył. Pierwszy był silną płonką, która się szczepiła na starych pniach, drugi — zdrowym pniakiem, do którego się przyszczepione płonki przystosowywały. Oba niesłychanie żywotnej natury, plemienną swą duszą przenikały każde narodowe ciało, z którym skojarzyć się chciały lub musiały, wybijając się swoją typowością po nad wszelkie obce wpływy, owszem, zabarwiając ją po niedługim czasie wszelką przymieszkę obcoszczepową.

Dlatego nie staniemy od prawdy daleko, jeżeli, chcąc mieć pojęcie o ogólnym ówczesnym typie rodziny i jej węgła — kobiety, weźmiemy pod uwagę stanowisko Germanki i Słowianki, pomijając kobietę innych ludów.

Poglądy nasze oprzeć się mogą na bardzo nielicznych dokumentach historycznych, lecz brak ich zastępują poniekąd o wiele liczniejsze dokumenty literatury; ubogie wzmianki kronikarskie dopełniają się pieśnią, baśnią, podaniem. Kronika daje tylko imię, datę, fakt suchy; fantazyja ludowa z imienia tego rzeźbi typ wszechstronny, na tle tego faktu maluje szeroką charakterystykę. A nawet zmieniając imię, nawet fakt przeinaczając, pozostaje zwierciadłem prawdy dziejowej, bo daje obraz

nie człowieka i czynu, lecz narodu i ducha, nie tego, co się stało, lecz tego, co się dziać zwykło.

Dowiadujemy się ze wzmianek znajdujących u Plutarcha, Tacyty, Juliusza Cezara i innych, że kobietę starożytnych Germanów otaczał powszechny szacunek, częściej nawet, że była im ona opatrzna świętością.

Poważne to swoje stanowisko zawdzięczała Germanka tak sile okoliczności, jak i usposobieniu swego małżonka.

Okoliczności były tego rodzaju, że mąż — rzadki gość w domu — zajmował się jedynie rycerskim rzemiosłem, a zabawiał się jedynie łowiectwem; całkowita jego działalność była po za domową, w domu zażywał tylko rzadkiego wczasu, a bytność jego u rodzinnego ogniska składała się niemal tylko z powitania i pożegnania. Był więc czas na uciechę zobaczenia się i żal rozstania, za mało go miano na kolidację dwóch charakterów i walkę dwojakiej woli, na ferment nieporozumień i niechęci, na wzajemne uprzykrzenie sobie wspólności pożycia. A gdy krótkotrwałość obecności męża podnosiła temperaturę uczuć małżeńskich, ciągle nieobecność jego zwiększała znaczenie pani domu. Miała ona na swej głowie całą pracę lub zarząd pracą, była zwierzchniczką i żywicielką rodziny i czeladzi, i prawie utrzymywała męża, który do gotowego powracając z wojny, przyrzucał tylko owoce łupieństw swoich do zasobu zgromadzonego przez żonę i w mniejszej zwykle części był współnikiem ekonomicznej wytwórczości domowej.

Roztropność i energia tych kobiet, umiających zastąpić i rękę, i głowę mężką, znajdowały u mężczyzn słuszną ocenę. Umysłem logiczny, a temperamentem chłodny Germanin, odnosił się do kobiety rozsądnie a beznamietnie i w skutek tego sprawiedliwie. Ceniąc wielce jej użyteczność, a mało jej zmysłowe zalety, tem samem zwracał ją w kierunku wyrabiania się na dzielną pomocnicę, nie na bierną miłośnicę; potrzebując w niej samodzielnej energii, nie obozwładniał jej despotyzmem, nie unicestwiał swą wyższością; chcąc mieć żonę-towarzysza, stwarzał kobietę-człowieka i szanował jej człowieczeństwo. Szacunek ten nie przejawiał się w formie późniejszych nienaturalnych i nieszczerych hołdów, składanych kobiecości, które były jakby pozłotą na okowach, lecz w formie bardzo nieraz daleko zachodzącego zrównania przywilejów i podniesienia stanowiska kobiety. Niewiasty germańskie bywały niednokrotnie do rady narodowej przypuszczane, wieszczki i wróżbitki miały wielką powagę, wyroki ich i wskazówki miały opinię nie babskich sądów, lecz głosu Bożego, a imiona Welledy, Aurnii, Ganny ku czci przyszłych pokoleń do narodowych tradycji przechodziły. Zdarzało się, iż niektóre plemiona pod niewieściami rządami żyły; zdarzało się nawet, że kobiety-rycerki miały się oręza i okazywały się równie mężnemi w boju, jak mądremi w radzie. Więc nawet owe trzy zaklęte koła męskiej wyłączności: — parlament, sądownictwo i sztuka wojenna — nie były bezwzględnie zapartemi przed kobietą, miała ona do nich wstęp wolny, chociaż ze względu na rzadkie w tych kierunkach uzdolnienie — wyjątkowy. I tak Got pół-

barbarzyński przed lat przeszło tysiącem roz. wiązał na drodze doświadczalnej zagadkę społeczną położenia płci obu w tym sensie, że gdy kobieta w ogólności pełniła zwykle swe funkcje przyrodzone i domowe, kobieta w szczególności, to jest taka, która wykazała zdolność i chęć do szerszej działalności, nie była od niej usuwana, przeciwnie, uważano za pożyteczny społecznie ten odrębny żywioł, przydany do składu sędziów, radnych, a czasem nawet wojowników.

Ten sposób traktowania rzeczy nie wpłynął ujemnie na stosunki rodzinne, gdyż powaga żony, chociaż znaczna, była jednakże podporządkowaną wyższej od niej powadze męża. Rodzina była skonstruowaną normalnie, na zasadzie karności, dającej jej ład harmonii i spójni pod władzą i obroną najsilniejszego, to jest małżonka i ojca. Jednożeństwo było najczystsza formą rodziny, nadając jej właściwy charakter szlachetnej godności, a chociaż — jak zwykle w pogaństwie — wielożeństwo nie było wykluczonym, zdaje się jednak, że musiało ono być tylko rzadkim zbytkiem bogatych, mogących pozwolić sobie na liczną rodzinę.

A jednak przy tak racjonalnem i sprawiedliwym traktowaniu stanowiska kobiety w praktyce, teoretycznie kwestya pozostawała na punkcie starożytnego zacofania i stanowiła odwrotną stronę medalu. Pogląd legalny i religijny na istotę rodzaju żeńskiego nie wyróżniał jej w pierwszym względzie od niewolnika, w drugim — od zwierzęcia.

Legalnie uważała się kobieta po staremu za niepełnoletnią przez całe życie, nie mogącą być nigdy prawnie usamowolnioną, zawsze bezwzględnie zależną od naczelnika rodziny — ojca, męża, nawet syna. Prawo małżonka nie dosięgało wprawdzie aż władzy nad życiem żony, było jednak tak rozległe, że np. w wypadku wiarołomstwa wolno mu było zaprzedać ją w niewolę.

Religie zaś tak północno-, jak środkowo europejskich ludów, które uznawały pierwiastek nieśmiertelności człowieka, interesowały się jedynie duszą mężką, nie wspominając wcale o duszy kobiecej.

Wyznawcy chrorego Odyna wymarzyli sobie rajska nieśmiertelność, odpowiednią do swych pojęć i upodobań, i wielce o nią dbali. Rycerze germańscy i skandynawscy szli na bój najsroższy, na śmierć prawie pewną z zachwałą odwagą i niezachwianym spokojem, bo wierzyli mocno w pośmiertne rozkosze, nagotowane dla walecznych w bożkiej Walhalli. Czekali ich tam ciągle mordercze zapasy, a po nich pijackie biesiady, — ulubione im pławienie się w świeżej krwi i odurzającym miodzie na przemian; były tam dla nich najdzielniejsze konie, najhartowniejsze zbroje, najtłustsze mięsiwa, tylko nie było wśród rajskich rozkoszy obojętnej dla nich miłości, nie było w Walhalli kobiety. Posługiwały wprawdzie duchom poległych wojowników dziewicze bóstwa, Walkiry „tarczonośne“, ale te były usymbolizowaniem waleczności i heroizmu raczej, niż niewieściego powabu, który w ogóle słabe wywierał wrażenie na twarde zmysły i wstrzemięźliwy temperament tych ludzi, miłujących namietnie tylko bojową sławę.

Nie było tam więc duszy kobiecej za pro-

giem doczesności, nie miało stanowisko kobiety—choć tak wysokie—ideowej podwaliny, i ta, która w praktyce stała prawie na równi z mężczyzną, pozostawała tak w zasadzie społecznej, jak w religijnej doktrynie, stworzeniem bezwolnym i bezdusznym.

Ale nadszedł czas, gdy w sprzeczności z tym staropogańskim poglądem stanęły pojęcia nowe, gdy chrystyanizm zainaugurował pojęcie duchowej równości ludzi tak wszelkich stanów, jak i obu płci.

Chrześcijańska doktryna, która od samego prawie początku, bo od wystąpień pierwszych sekciarzy, zwykła motywować rozumowo swoje zasady na drodze filozofii teologicznej, wprowadziła kwestyą człowieczeństwa kobiety na pole ideologii, a pierwsze dokładne orzeczenie w tym przedmiocie miało miejsce właśnie wśród jednego z tych społeczeństw, które ceniły i poważały swoje niewiasty, lecz po staremu nie uznawały ich za ludzi.

Przy końcu wieku VI-go w państwie Franków religia chrześcijańska urzędowo wprowadzona, nie wniknęła jednak jeszcze głębiej w pojęcia narodu, tak, iż nawet wśród chrześcijańskiego duchowieństwa trafiały się pozostałości pogańskich poglądów. Zdarzyło się więc,—czytamy w kronice Grzegorza turoneńskiego,—że na synodzie katolickim w Macon, 588 roku, jeden z obecnych biskupów utrzymywał, jakoby kobieta nie mogła być zwaną człowiekiem. Pogląd ten poddano dyskusji obradujących, i teologowie postawiwszy kwestyę na gruncie Pisma św. rozstrzygnęli ją stanowczo — w duchu przeciwnym zdaniu owego biskupa, który, przekonany wywodami kolegów, uznał błędność swego twierdzenia. Wywody te były następujące: Stary Testament głosi, że Bóg stwarzając „człowieka“, stworzył „mężczyznę i niewiastę“ i nadał „im“ imię Adam, co znaczy „człowiek z ziemi“ (homo terrenus). W Nowym zaś Testamencie Chrystus nazywa sam siebie „synem człowieczym“, chociaż nie mając ziemskiego ojca, jest nim przez niewiastę jedynie. Z tych danych wniosek oczywisty, że niewiasta tak w porządku stworzenia, jak i łaski, jest takąż, jak mężczyzna ludzką istotą, skoro Stwórca mianował człowiekiem Ewę, a Zbawca — Maryę.

W tym samym prawie czasie, w którym obradował ów synod makoński, w innym mieście Frankonii odbywał się z nadzwyczajną okazałością pogrzeb mniszki zmarłej w *opinii świętobliwości*, błogosławionej Radegundy. Jakby na potwierdzenie wyroku uczonych teologów, przyznających człowieczeństwo kobiecie, tłumy ludu oddawały hołd publiczny kobiecej duszy, uznając ją tym sposobem nie tylko za nieśmiertelną, ale za równą najdosłowniejszym duchom męzkim. Powszechna opinia świętobliwości i potwierdzenie jej przez uroczystą kanonizację stały się jakby pieczęcią duchowego równouprawnienia kobiety, moralna jej godność uwydatniła się na równi z mężką, przez najwyższy ziemski zaszczyt — cześć pośmiertną.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Miliarderki.



V.

Pani Hetty Green.

Najbogatszą kobietą w Stanach Zjednoczonych jest pani Hetty Green, posiadająca przeszło sto milionów dolarów majątku. Miliarderka ta tak doskonałą jest finansistką, że jakkolwiek nie położyła sama kamienia węgielnego pod olbrzymi gmach swej fortuny, to jednakże bardzo usilnie pracowała i pracuje około powiększania tej budowli wspaniałej, a w pracy swej nie ustaje ani na chwilę.

Jej chciwość i sknerstwo przedstawiają ciekawy przedmiot studyów dla psychologa, a pani Green zamiast się obrażać, gdy jej czynią zarzuty z tych znamiennych cech jej charakteru, chętnie się niemi i uwydatnia je całym swym sposobem życia a nawet ubiorem. Był czas, gdy poborcy podatkowi szukali jej po całym Nowym-Yorku w celu oznaczenia wysokości podatku osobistego, jaki należałoby od niej pobierać. Otóż dla zmylenia śladu wielka ta bogaczka przez czas dość długi wyrzekła się posiadania „domu“, swojego kąta, swego „home“, tak drogiego ludziom, a zwłaszcza kobietom. Mieszkała ona wtedy po parę dni raz w jednym, to znów w drugim z trzeciorzędnych „pokojów umeblowanych“, gdzie płaciła jakie pół dolara na tydzień, śmiejąc się w duchu z tropiących ją urzędników. Wykryto ją nareszcie po długich poszukiwaniach i przemocą niedługo zdołano „otaksować“ bardzo nizko, bo na 12,500 franków.

Dziś jeszcze pani Hetty Green mieszka w Brooklynie w t. zw. „boarding hause“ (rodzaj pensjonatu) i oszczędza się biedaczka, jak może. Dawno już temu, będąc młodą, dwudziesto-sześć latnią kobietą pani Green, uległszy namowom a może i próżności niewieściej, zrobiła niesłychany zbytek i kazała się portretować. Portret jej przedstawiał oczom widza wysoką, ładnie zbudowaną damę z wielkim bogactwem kruczonych włosów i piękną o regularnych rysach twarzą. Dziś niktby się nie dopatrzył podobieństwa do tego portretu w kościecie, rozrosłej postaci o długich rękach, dużych, męzkich rysach twarzy, męskim również chodzie i ruchach. Gdy mistress Hetty Green zasiadzie w fotelu, założy nogę na nogę z zapalem rozprawiając o interesach, zacznie według zwyczaju swego wygrażać palcem wskazującym jakiemuś niewidzialnemu wrogowi,—możnaby przysiąc, że to niezgrabny mężczyzna, przebrany w szaty niewieście. A szaty owe są tak niepokojące, wytarte i zniszczone długoletnim używaniem ich przez właścicielkę, że tej ostatniej z wielką trudnością przyszyłoby skłonić człowieka, który jej nie zna, do pożyczania jej kilku dolarów.

— Przyznaje,—mawia nieraz pani Hetty,— że nie ubieram się bardzo wykwinicie, chociaż mam parę porządnych sukien w walizce, ale, moi państwo, wierzajcie mi, że nie mam głowy do rozmyślenia o strojach. Weźcie najpiękniejszego konia czystej krwi, zaprzęgnij-

cie go do omnibusu i każcie mu go ciągnąć przez lat trzydzieści, a zobaczycie, jak to zwierzę będzie wyglądało. Otóż ja jestem w położeniu tego konia, a Barling—to popędzający mnie woźnica—cóż dziwnego, że wyglądam nieszczególnie!...

Barling jest wykonawcą testamentu Edwarda Mott Robinsona, ojca pani Hetty Green. Jegomość ten całymi latami zwleka ze składaniem rachunków i porządkowaniem interesów spadkowych i, zdaniem pani Green, zamierza wyrobić jej opinię waryatki. Z natury rozmowna, staje się pani Hetty gadatliwą, gdy ją zagadną o pana Barlinga i jego niegodziwość, a opowiadała by dzień i noc, bez ustanku o procesie, który jej wytoczono o spadek po ciotce jej, Sylwii Annie Howland. Inni spadkobiercy ciotki oskarżyli panią Green o sfałszowanie dokumentów urzędowych i rzeczoznawcy uznali ją za winną. Wówczas pani Green weszła w układy ze skarżącymi i zobowiązała się zapłacić 172,000 dolarów za umorzenie sprawy. Zgodzono się na to, lecz gdy chwila wypłaty nadeszła, pani Hetty odwołała się do uczuć rodzinnych swych przeciwników i tyle zdziałała swą wymową, że przystali na zapłacenie połowy umówionej summy i sprawę zatuszowano, aby nie zciągnąć hańby na poważaną rodzinę Howlandów. Jednakże przeznaczenie pani Green w obawie, że krewni jej mogą się namyśleć i na nowo wdrożyć przeciwko niej proces o fałszerstwo, znikła z Nowego-Yorku i ukryła się hen, daleko za Oceanem przy skromnej uliczce dzielnicy Łacińskiej w Paryżu. Gdy po kilku latach krewny jakiś przypadkiem ją tam znalazł, udała się do Londynu, przez długi przeciąg czasu wciąż zmieniała miejsce pobytu dla zmylenia śladu. Nareszcie, gdy majątek jej znacznie się powiększył, uznała, że może się bezpiecznie obejść bez szacunku ze strony swej rodziny i zawitała do Nowego Yorku. Tam 10 milionów dolarów, odziedziczonych po ojcu odrazu wyrobiły jej znaczenie i poszanowanie w sferach finansowych, ale ambicya jej tem się nie zadowoliła; należeć do świata miliardów nie wystarczało jej: „jeszcze“, „jeszcze!“—wołała w niej żądza złota i ona to popchnęła panią Green do wdania się w operacje na giełdzie, które tak szczęśliwie się jej powiodły, że współ z nader zyskownymi spekulacjami na gruntach, jakie miała w Chicago, sześciokrotnie powiększyła jej dziedzictwa. Dzisiaj pani Green wypiera się tego, że niegdyś grała na zniżkę i zwyżkę, ale tak było istotnie.

Pani Hetty Green, posiadająca tyle nieruchomości, że podatki od nich mogłyby pokryć budżet miasta, liczącego 30,000 mieszkańców, urządziła się tak „sprytnie“, że podatków nie płaci wcale. Posłuchajmy, jak sama o tem opowiada:

— Miałam pieniądze złożone w pięciu bankach chicagowskich (nieruchomości, o których mowa, znajdują się w Chicago) i gdy mię zaczęto nagabywać o podatki, zawiadomiłam wszystkie te instytucje, że wycofuję moje kapitały. Wówczas banki porozumiały się z sobą, udały do odnośnego urzędu i powiedziały: „Wiecie szanowni obywatele, co właściwie chcecie zrobić? Pozbawicie miasto milionowych wkładów pani Hetty Green. Jeżeli

wam się zdaje, że Chicago na tem zyska, ściągając podatki od tej pani, ale my żadnych interesów z wami robić nie będziemy, poszukajcie sobie z łaski swojej innych banków."

Opowiadając tę historię pani Green, śmieje się, zaciera ręce i dodaje: „Urząd podatkowy musiał wobec tego kapitulować i odtąd poborca nie zajął do mnie więcej. Kapitały moje za to pozostały w bankach chicagowskich."

Ta umiejętność wybierania z dwóch złych rzeczy mniej złej, czyli mniej dla siebie niedogodnej, nawet wbrew wszelkim zasadom słuszności bardzo często stosowaną bywa w Ameryce przy transakcjach prywatnych. „Nie chcesz się na to zgodzić, czego od ciebie żądam, dobrze, obywatelu, ale zobaczysz zaraz, co zrobię, żeby cię do tego zmusić!"

Oto zasada, w myśl której postępuje tam niejeden, a jak wskazuje przykład pani Hetty Green — i niejeden.

Najbogatsza kobieta w Stanach Zjednoczonych jest zarazem i największą w swej odczyźnie piniaczką. Prowadzi ona niezliczoną ilość procesów przeciwko osobom prywatnym i instytucjom. Przyznaje sama, że od lat trzydziestu procesuje się bezustannie. To też prawnicy nie skarżą się na nią.

Pani Hetty Green urodziła się w stanie Rhode Island i ileży obecnie lat sześćdziesiąt kilka. Należąc do kościoła kwakerskiego, utrzymuje ona, że spełnia tylko jeden z przepisów swej religii, ubierając się tak niepočasnie, w rzeczywistości jednakże czyni to w celu uniknięcia rabunku, nosi bowiem przy sobie ogromne sumy, a codziennie po razy kilka przechodzi pieszo przez most brookliński; nie chcąc płacić za przejazd omnibusem, mogła by więc łatwo być ograbiona, gdyby nie wyglądała na ubogą kobiecinę. Pani Hetty ma dwoje dzieci: syna Edwarda, mieszkającego w Texas i córkę Sylwię. Ta ostatnia jest bardzo przystojną panną, a że przytem posażek ma wcale ponętny, nie dziw więc, że otacza ją cały rój wielbicieli, zwłaszcza od czasu, gdy matka jej oznajmiła, że wyda swą jedynaczkę tylko za człowieka ubogiego, lecz „uczciwego." O mężu pani Green nigdy się nie mówi. Biedak ten usunięty na ostatni plan przez swoją niepospolitą małżonkę, przepędza podobno czas wcale nie wesoło, uprzyjemniając nudny swój żywot ciągłym czytaniem.

Pani Hetty Green żywi wielki affekt dla uczciwości. Pragnie koniecznie uczciwego zięcia i radzi młodym ludziom, aby chcąc być bogatymi, przedewszystkiem przestrzegali zasad uczciwości. Niedawno jeden z licznych, niepokojących tę damę interviewerów zapytał ją, jak należy postępować, aby zdobyć miliony? „Należy być rozsądnym, stanowczym i mieć zasady" — odpowiedziała. — Nie trzeba tracić czasu na wymyślanie sposobów oszukiwania bliźnich, albowiem bez uczciwych zasad daleko zaść niepedobna. Wykształcenie otrzymane w szkołach na nic się nie przyda w interesach; stanowczość i zdrowy rozum więcej znaczą i lepszą są wskazówką dla młodego człowieka, niżeli książki."

A zatem „rozsądek, stanowczość i zasady" — oto tajemnica „powodzenia." Cóż ta miliarderka uczyniła dla ogólnego dobra? Zapyta-

na o to pani Hetty zapewnia, że w testamencie swym zapisała znaczną sumę, odpowiednią do swego majątku, na pewną fundację dobroczynną, której charakteru nie chce jednak bliżej określić. A i za życia jest ona miłośniczką na swój sposób, a przynajmniej tak mówi: „Nie chełpię się nigdy memi dobremi uczynkami, — twierdzi, — ale je spełniam ciągle. Pielęgnuję troskliwie chore kobiety i tak mi w tem szczęście sprzyja, że żadna z moich chorych nie umarła. W skuteczność jałmużny nie wierzę ani ja, ani nikt z naszej rodziny. Ojciec mój kupował cegły, gdy były tanie i drzewo budulcowe, kiedy ceny jego znacznie spadły, drzwi, okna, słowem wszystko potrzebne do budowania nabywał w najdogodniejszych dla siebie warunkach, a potem czekał na sposobną chwilę, kiedy robotnicy byli bez zajęcia i wówczas zaczynał budować. Niebawem wznosiły się całe szeregi pięknych domów, które „pape" kosztowały bardzo niewiele, lecz które sprzedawał ze znacznym dla siebie zyskiem. Mojem zdaniem, najlepszą i najodpowiedniejszą celowi swemu jałmużną jest danie człowiekowi możności zarobkowania, co go we własnych oczach podnosi i uszlachetnia. Dając jałmużnę, wytwarza się tylko niewdzięczników. Znałam w Chicago wiele wdów bez funduszu, które najspokojniej pozwalały synom, aby pracowali na utrzymanie, postarałam się przekonać te kobiety, że postępowanie takie nie jest godziwe, że same powinny dołożyć wszelkich starań, aby zarabiać na zaspokojenie swych potrzeb. Wiele z nich usłuchało mojej rady i dziękowało mi później. Namawiam zawsze ludzi do nabycia małej części ziemi i budowania. Jest to dobry sposób zostania bogatym. Postarajcie się, aby dom, który zamieszkujecie był waszą własnością, a nie pożałujecie tego. Czuję ja dobrze odpowiedzialność, jaką wkłada na mnie bogactwo, i dla tego czuwam nad zdrowiem osób, kupujących ode mnie grunty lub domy. Mogę też śmiało powiedzieć, że każdy co nabył ode mnie nieruchomości, oddycha czystym, wolnym od zarazków powietrzem, a przeto nie będzie cierpiał ani na malaryę, ani na dyfteryt, lub coś podobnego. Nie pozwalam nikomu budować na moich gruntach, zanim nie stwierdzę osobiście, że ścieki są w porządku. Czuję zresztą doskonale, ważność wpływu, jaki ze względu na moją pozycję majątkową wywieram na ludzi i czynię wszystko, byle wpływ ten oddziaływał zbawiennie i korzystnie."

Ze słów tych widzimy, że najbogatsza kobieta w Stanach Zjednoczonych, pomimo swego sknerstwa i połączonych z niem dziwactw, nie jest wielkością ujemną, pojmuje bowiem obowiązki swe względem ogółu i pełni je, jak umie i może, czyli o ile na to pozwala jej natura.

Edward H. R. Green, syn pani Hetty jest prezesem kolei żelaznych, Texas Midland, należących do jego matki. Rozszerza on ciągle sieć tych kolei i postawił sobie za zadanie połączenie ich z kolejami linii Pacifique i Missouri. Panu Edwardowi Green tak się uprzykrzył kurz i gorąco, które mu dokuczyły więcej, niż wielu innym, ponieważ spędza on większą część życia w rozjazdach kolejami, że nie zaznał

spoczynku dopóty, dopóki nie wymyślił sposobu na tę dwie plagi. Sposób ten polega na ustawianiu przy oknach wagonów dwóch płyt z bardzo cienkiej tkaniny metalowej, pomiędzy którymi przepuszcza się prąd wody rozpylonej za pomocą wentylatora. Przyrząd ten znakomicie wpływa na odświeżenie atmosfery w wagonie, zapobiegając nadto wciskaniu się pyłu do przedziału. Matka pana Edwarda czuwa troskliwie nad czystością powietrza, którem oddychać mają jej lokatorowie, on zaś zabezpiecza swych pasażerów, od dwu wielkich niewygód podróży: upału i kurzu; czyż oboje nie mają prawa do wdzięczności swych bliźnich, a przynajmniej pewnej ich kategorii?



Marya Łopuszańska.

OBRAZY

Z PRZESZŁOŚCI NIEWIAST.



(Ciąg dalszy).

Dawid, leżąc na swem łożu ze skór miętko usłanem i mając przy boku Abisay, patrzył na to wszystko i cieszył się. Od czasu do czasu skinął białą brodą, na znak uznania.

Niedługo potem odszedł król Dawid do ojców swoich, a Salomon panował nadal mądrze i szczęśliwie.

Aż dnia pewnego wszedł Adoniah do komnaty, kędy znajdowała się Betsabe ze swoim dworem, którym otoczył ją Salomon na znak szacunku.

Widząc oblicze jego wzburzone i oczy płonące ogniem wewnętrznym, spytała go:

— Synu Haggity, spokojnież przyjdzie twoje? A on odpowiedział:

— Spokojne. Otom przyszedł tu, bo mam nieco mówić z tobą.

Betsabe odprawiła dwór swój skinieniem i rzekła:

— Mów!

Tedy rzekł:

— Ty wiesz, że moje było królestwo, a na mię obrócili byli wszyscy Izraelczycy oblicze swoje, abym królował, ale przeniesione jest królestwo i dostało się bratu memu, bo mu od Pana naznaczone było. Przetoż cię teraz proszę o jedną rzecz, a nie odmawiaj mi tego.

A ona mu rzekła:

— Mów!

— Rzeknij, proszę, do Salomona, bo wiem, że ci nie odmówi, aby mi dał Abisay Sunamitkę za żonę...

I odpowiedziała Betsabe:

— Dobrze, będę mówiła o cię z królem.

Betsabe rada pospieszyła do króla prosić go o Sunamitkę, dla Adoniasa, bo dawno spostrzegła, iż Salomon oczy swe wciąż obrażał na Abisay i bała się, aby ta nie stała się z czasem wszechwładną u niego, tak, jak ona sama niegdyś u Dawida, bo wówczas władza, którą miała dotychczas nad duszą syna, byłaby zwalczoną przez inną władzę.

Gdy weszła do komnat Salomona, ten wstał natychmiast i pokłonił się matce, rozkazawszy przynieść dla niej taki sam tron, jak ten, na którym siedział. Kiedy Betsabe usiadła po prawicy jego, zapytał.

— Czego żadasz matko moja? Otom prosił, byś mię ukoronowała ręką swoją, bo cię cześć i miłuję, jak nikogo na świecie. Przeto mów, z czem przysłaś?

— Przysłałam do cię z prośbą.

— Proś, matko moja, albowiem ci nie odmówię.

— Oddaj Adoniasowi Abisay Sunamitkę za żonę!

Tedy król rozgniewał się srodze i rzekł:

— Uczyni lepiej matko: proś także o królestwo dla Adoniasa, ponieważ jest pierworodnym; proś mię także o jaką łaskę dla kapłana Abiathara i dla Joaba, syna Serui, którzy mię zdradzili, pomagając Adoniasowi!

I unosząc się gniewem coraz więcej, poprzysiął na Jehowę, że dziś jeszcze Adoniah umrze.

Tak się też stało. Wieczorem dowódzca straży pałacowej przyniósł do stóp tronu Salomona głowę Adoniasa.

Abisay, skoro wieść o tem ją doszła w głębi komnat niewieścich, kędy zamkniętą była, zapłakała gorzko i rzekła do siebie:

— Oto ten mię kochał i za to życia został pozbawionym. Strzeż mię Panie, abym nie stała się także przyczyną śmierci mego miłego, który każdego wieczora błądzi w pobliżu murów pałacu, ukryty w gaju oliwnym...

Nazajutrz król Salomon wszedł do Abisay i rzekł:

— Oto Adoniah prosił mię, abym mu cię oddał za żonę, i za to śmierć poniósł. Każdy śmierć poniesie, kto mi cię wydrzeć zechce, bo cię miłuję. Wszystkie skarby moje rozsypię u nóg twoich, jeno mię kochaj!

A Abisay Sunamitka odrzekła, podnosząc głowę:

— Miej ty sobie tysiąc srebrników, królu Salomonie, przeto nie kupisz miłości mojej! Nikt nie wie, kędy jest miłość moja, ale mocna ona, jako śmierć, twarda, jako grób: miłość to jest zazdrośna, która nie znośi podziału... Patrz, o królu, jak małe jest serce moje, jak niewielkie miejsce zajmuje, — to mówiąc, położyła rękę królewską na swem mocno bijącym sercu. — Czyż dwie takie miłości może w sobie pomieścić?

— Powiedz mi, kogo miłujesz, tedy zabiję go, aby mi nie stawał na drodze! — zawołał król w gniewie.

— Nie powiem ci tego, królu, choćbyś mię palił gorącym żelazem. A chociażbyś zabił mego miłego, tedy bym go i w grobie miłowała tak samo, jak za życia, bo miłość nad śmierć mocniejsza!

Tedy król zawołał:

— Odwróć oczy twoje ode mnie, gdyż mię one srogim czynią! Poprzysięgam, że zabiję twego miłego, skoro go odnajdę!

— A ja poprzysięgam, że zamiast miłości, nienawiść moją zdobędziesz wówczas, o królu!

— Cóż mam uczynić, abys mię miłowała? — Puść mię do domu ojca mego, gdzie pasłam trzody i przędłam białą wełnę przy ognisku, a będę dzień i noc błagała Pana

o twoją pomyślność. Nie trzymaj mię dłużej w swoim pałacu, który jest dla mnie więzieniem!

— Nie, tego uczynić nie mogę, zanadto cię miłuję! Lecz uczynię cię królową, i wszystkie niewiasty w moim pałacu oprócz Betsaby, matki mojej, będą ci posługiwały, jako pani swej. Bądź moją! Przyniosę ci pereł i klejnotów, ile chcesz, posadzę cię po prawicy mojej, — jeno mię miłuj, bądź moją!

A Abisay Sunamitka odrzekła królowi:

— Panie, jam jest niewolnicą twoją, masz mię w swej mocy. Możesz mię zmusić do wszystkiego, jeno sercu memu ani ty, ani ja rozkazać nie możemy... Przeto puść mię, panie, błagam cię, bo ani skarby, ani królestwo nie zdolne są opłacić miłości, choćby kto wszystką majątność domu swego dał za takową miłość, byłby napewno wzgardzony...

Codzień przychodził król Salomon i codzień błagał Abisay, by go pokochała; nieczem mu zdawały się wszystkie skarby jego i potęgi, skoro za nie nie mógł kupić miłości ubiegogo dziewczęcia.

— Cóż warte one skarby, jeśli za nie szczęścia kupić nie można? — myślał. Nie są li marnościami nad marnościami?

I nie chciał patrzeć na żadną z niewiast, których tak wiele miał w swym pałacu; wszystkie zdały mu się nie miłe, jednej Abisay pragnął, jej tylko uścisku pożądał.

A przecież miał ją w swej mocy: mógł w każdej chwili pojąć jej ciało; czemuż nie korzystał z tego? Bo czuł dobrze, że to by go nie zadowoliło; miał już dosyć płatnych uścisków nałożnic; dziś pragnął serca...

— Jakto? — więc on król potężny, którego tysiące słuchają, miałby nie otrzymać tego jednego, czego pożądał najgoręcej?

Serce jego wzbierało po kolei to żalem, to wściekłością: szukał rady na swoje cierpienie i znaleźć jej nie mógł.

Od pewnego czasu zauważył dziwny ogień w oczach Abisay; bardziej, niż kiedy zdawała się uragać jego władzy nad sobą, a po obliczu jej przechodziła chwilami jakoby łuna szczęścia, której ukryć nie mogła.

Dzika zazdrość poczęła szarpać serce królewskie; czuł, jak podejrzenie wkłada się do jego duszy i zamienia się prawie w pewność.

Kazał przywołać do siebie dowódcę straży pałacowej i rzekł doń:

— Pilnuj mi dobrze w nocy strony niewieściej pałacu; każ podwoić strażę przy murze ogrodowym i przy południowym tarasie, bo mam podejrzenie, że ktoś tamtędy się skradła, widziałem bowiem ślady stóp męzkich na piasku.

Dowódzca uderzył po trzykroć czołem o ziemię i rzekł z trwogą w głosie:

— Stanie się tak, jako rozkazałeś, o panie!

Nazajutrz z rana król przechadzał się po ogrodzie, kiedy usłyszał wielki krzyk i lament w południowej stronie, kędy mieszkwały niewiasty. Pospieszył w tę stronę i ujrzał strażę niosącą trupa młodego mężczyzny, w odzieniu, jakie nosiła ludność pasterska, mieszkająca u stóp gór Libańskich. Za nimi biegła niewiasta, z twarzą zupełnie prawie osłoniętą długimi włosami, w której król jednak poznał Abisay. Straż chciała ją usunąć od trupa, lecz ona wołała:

— „Puszczajcie mnie, puszczajcie! Niech ucałuję raz jeszcze jego usta ukochane! On jest mój, mój, i jam jest jego; nikt, nawet śmierć, nas nie rozłączy! O miły mój! pójdę za tobą, boś jest małżonkiem moim. A któż jest, co śmie żonę od męża odłączać? Puszczajcie mię, puszczajcie! bowiem on ci jest moim miłym, który pasie między liliami...”

Ha, ha, ha! królu Salomonie! sądziłeś, że za złoto i klejnoty kupisz miłość moją? Jeden jest na świecie, który posiadał miłość moją, a wody wielkie nie mogłyby ugasić jej płomienia...

Pospiesz się, miły mój, a bądź podobien sarnie, albo młodemu jelenkowi na górach ziół wonnych...

Przyłóż mnie, jako pieczęć na serce swoje, jako sygnet do ramienia swego...

Poprzysięgam was, córki jerozolimskie, abyscie nie budziły i nie przerywały snu miłego mego, dokąd nie zechce!

Gdzieżeś, gdzieżeś mój miły? Szukam i wołam cię po mieście i nie wiem, kędy jesteś? Patrz, oto strażę zdarły płaszcze ze mnie, a włosy moje mokre od nocnej rosy...

— Miej ty sobie tysiąc srebrników, Salomonie; — jam jest miłego i mój jest miły, który pasie na wzgórzach zielonych...

Poprzysięgam was, córki jerozolimskie, abyscie nie budziły i nie przerywały snu miłego mego, dokąd nie zechce!

I ramiona jej obejmowały głowę zabitego, którą cisnęła do swego łona, jak skarb najdroższy, a oczy jej, obłąkane nadmiarem boleści, patrzyły przed siebie hardo, jak gdyby wyzywać chciały tych, co się ośmielią rozłączyć ją z ukochanym.

Straż na nowo chciała ją oderwać od trupa, lecz ona wyrwała się im nagle z rąk i wbiegła na taras. Nim spostrzeżono, co chce uczynić, stanęła na murze, otaczającym go i skoczyła z jego wysokości na dno kamiennego wąwozu, który znajdował się u jej stóp.

Król Salomon jęknął, ujrawszy to, i oddalił się, zasłaniając oczy płaszczem...

(Ciąg dalszy nastąpi).



KWIATY I CHWASTY.



Estewa: „Wspomnienia z Rivieri.” — Eliza Orzeszkowa i Juliusz Rómski: „Ad astra.”

Historję bardzo pouczającą opowiedziała p. Estewa w formie pamiętnika („Wspomnienia z Rivieri”). Pokazała, że można być dobrą, kochającą żoną, a mimo to stargać lekkomyślnie własne i cudze szczęście.

Mówi przysłowie niemieckie: „Sposobność wytwarza złodziei” (*Gelegenheit macht Diebe*). Nie samych tylko złodziei ma pokusa na sumieniu. Wielkie mnóstwo grzechów ludzkich pochodzi z tego źródła.

Gdyby pani Zofia p. Estewy była została w domu, w Warszawie, pod opieką męża i rodziny, nie miałyby sposobności porównywania swoich ubogich warunków z błyskotliwością dostatku i nie byłoby jej przyszło na myśl zabawiać się w flirt niebezpieczny.

Pojechała na Rivierę, nad słoneczne nadbrzeża morza Śródziemnego, które wracają chorym płucom zdrowie. Pojechała sama, mąż

bowiem, wyrobnik, proletaryusz inteligentny, urzędnik na kolei żelaznej, przytroczony do posady, nie mógł sobie pozwolić na zbyt wypocznik. Żeby ona, chora, mogła ratować zdrowie, musiał on, zdrowy, pracować. Już to samo powinno było panią Zofię utrzymać na prostej drodze uczciwości.

I wyjechała rzeczywiście z wdzięcznym sercem, z najlepszymi zamiarami wrócenia tak czystą, tak białą, jak opuściła męża. Kochała przecież swojego mężusia, który się dla niej zapracowywał, który ją uwielbiał.

Ale po świecie chodzi pokusa i czyha najeźdźcą na serca młode, niedoświadczone, na dusze, które rozchylają się jeszcze do życia pełnym kielichem pragnień nieziszczonych. Pokusa pełza głównie za młodą, ładną kobietą.

Na brzegach słonecznych Morza Śródziemnego przepędzają zimę nie sami tylko chorzy, tłum próżniaków, których ubóstwo, praca, obowiązek nie przykuwają do zwykłego miejsca zamieszkania, szuka na Rivierze rozrywki, wrażeń. Z portfelem nabitym rusza ten tłum próżniaczy na Południe i myśli tylko o tem, jakby się najprzyjemniej zabawić.

W ten tłum próżniaczy, materyalnie niezależny, wpada młoda mężateczka, żona proletaryusza, i dzieje się to, co się w takich razach dzieć musi. Panią Zofię krępuje ubóstwo, żenuje ją, a potem gniewa. Wszyscy dokoła niej rzucają pieniądze pełną garścią, wszystkim starczy na wszystko, a ona musi się liczyć z każdym grosikiem w ciągłej obawie, aby nie zabrakło franków na najprostsze potrzeby, na utrzymanie. Jest przecież młoda, ładna, ma takie same prawo do swobody, do szczęścia, jak każda inna.

Bardzo dobrze podchwyciła p. Estewa ten żal swojej mężatki do losu, że ją upokorzył ubóstwem i bardzo dobrze przemieniła ten żal w bunt. Nie jedna już uczciwość ludzka rozbiła się o ten bunt, jak kruche szkło. Historia starganych małżeństw, rozpusty, grzechu w ogóle mogłaby na ten temat dużo powiedzieć.

Jest na Rivierze francuskiej gniazdo dyabelskie, które nazywa się Monte-Carlo. Wszystkie żądze ludzkie spieszą do tego gniazda w nadziei, że może uda się przytrzymać fortunę za kołnierz i wydrzeć z jej rąk kapryśnych bryłę złota, która otworzy bramę do rajy użycia. I pani Zofia jeździ do Monte-Carlo, aby podreparować swoją kasę ubożuchną. Nie jeździ sama, jeno zwykle z jakimś wiedeńskim hofratem, którego jej uroda olśniła. I porwana błyskotliwym życiem słonecznych brzegów, nie spostrzega się, nie widzi, że dopuszcza się całego szeregu nieostrożności, niewłaściwości, które same w sobie jeszcze nie są grzechem, nie plamią jej uczciwości małżeńskiej, ale wystarczają do rozbudzenia podejrzeń męża.

Jedno złe wynika naturalną konsekwencją z drugiego. Zmiarkowawszy, że mąż nie jest zadowolony z jej postępowania i niemądrych wybryków, przestaje być pani Zofia w swoich listach szczerą, nie mówi prawdy, kłamie po prostu i to kłamstwem niewinne burzy ostatecznie jej szczęście.

Cały ten proces psychologiczny z następstwami naturalnymi, opowiedziała p. Estewa z drobiazgowością kobiecą, bez pretensji do głębi. Świetnych obrazów kolorystycznych, jakie brzegi słoneczne nasuwają każdemu artyście, wrażliwemu na barwy, niema we „Wspomnieniach z Rivieri,” niema i scen wzruszających, ale jest ta prawda codzienna, powszednia, szara, składająca się z drobiazgów życia.

Są książki, które męczą czytelnika, nużą go, zostawiają po sobie niesmak, jak szpetny trunek; są, które orzeźwiają, wzmacniają, jak kąpiel ziołowa. Pierwszych jest dziś dużo, więcej, niż ich potrzeba, drugich mało, bar-

dzo mało. Do drugiego rodzaju zaliczam z prawdziwą przyjemnością „dwugłos” Elizy Orzeszkowej i Juliusza Romskiego p. t. „Ad astra.”

Z prawdziwą przyjemnością, tak rzadko bowiem spotyka się dziś sprawozdawca literacki z jakimś dziełem dodatniem, iż po tych ciągłych jękach i zgrzytach, najczęściej sztucznych, robionych, jest dla niego każdy owoc duszy ukojonej, zrównoważonej, istotnem *dolce luminacea laborum*, wypocznikiem, radością.

Omyli się, kto w „dwugłosie” Elizy Orzeszkowej i p. Romskiego będzie szukał ciekawej, zajmującej bajki. Niech książkę odłoży, bo nie znajdzie, czego szuka. I nie znajdzie także „lektury lekkiej,” takiej, która wsiąka sama, bez żadnego wysiłku w mózg leniwy, bawiąc przyjemnie. „Ad astra” trzeba czytać z wielką uwagą, by ogarnąć całość; nie można przewracać kartek, aby się zresztą na nie wiele przydało, w książce tej bowiem nie „dzieje się” właściwie nic w rozumieniu zwykłym, niema t. zw. „akcji powieściowej.”

Dwie potęgi, wydzierające sobie panowanie nad człowiekiem — uczucie i rozum — staczają w tej niezwykłej książce bój namiętny w formie listów, które przebiegają lotnemi kartkami z jednego krańca Europy na drugi. Praw i znaczenia uczucia broni młoda kobieta, panna, obywatelka ziemską, dziecko wsi, szampionem rozumu jest młody mężczyzna, rozgłośny, uczony, wychowaniec wielkiego miasta.

Zrazu odzywa się uczony bardzo skromnie. Mówi, iż o uczoności swojej wie to jedno, że nie wie, że jego „słońca nie świecą wcale, albo przynajmniej chwieją się płomykiem niestałym,” tak, jak on sam nie jest na horyzoncie wiedzy pochodnią, lecz chyba lampką, której drobne pobliski ustawicznie chwieją się i roztapiają w ciemności i obawia się, aby dumny faros wiedzy nie zmaliał i nie pobladał przy bliższym poznaniu. Ale skromność to sztuczna, obłudna. W dalszych listach wybuch pycha rozumu, nie zrównoważonego przez uczucie.

Zdaniem młodego badacza składa się kodeks bytu właściwie z jednego tylko paragrafu, — z samej chęci bytu, z popędu samozachowawczego, który jest może jedyną realnością, wypełniającą świat od brzegu do brzegu. Posłuszną mu jest kometa, pędząca w wieczność po nieskończonych parabolach, podlega mu zawieszona w kropli wilgoci ameba, której drobina jest tak samo konieczną, jak pióropusz lecący przez wszechświat komety i świadczy o tem człowiek, jako „najbardziej zawiła wiązka atomów.”

Człowiek, „zawilszy i rozmaitszy” od ameby, rozszepił ten paragraf w głębi duszy na tysiąc chromatycznych błysków i każdy z tych błysków ochrzcił osobnem imieniem. Mówi więc o miłości ku rodzicom, ku przodkom, ku przeszłości, o miłości braterskiej i szczerpowej, o miłości z wyboru, którą wielbi pieśnią nad pieśniami, stwarza sobie pojęcia władztw potężnych, przed którymi się korzy, wyznaje kultu nieśmiertelnych bohaterów i bóstw nieśmiertelnych, a wszystko to są środki, mające być jego na ziemi utrwalic. I dopiero na najwyższym stopniu historycznego i indywidualnego rozwoju dochodzi duch jego do uświadomienia tej epokowej prawdy, że jego miłości, bóstwa i wiary — to kłębki owych nici, po których byt wysnuł się z łona przedbytu; poznaawszy zaś w nich nie żywiolową, która nas sprzega z całokształtem świata i wolę naszą zniża do niewolniczego ruchu wtrąconych w ruch chaosów, pragnie się wyzwolić z więzów, zapanować nad biernym chaosem i własną potęgą ruchy jego rozmiarować.

Możnaby w tem miejscu zapytać, jaką drogą doszedł, raczej doleciał „człowiek-ameba” (trochę tylko zawilszy i rozmaitszy od wła-

ściwej ameby), na tak wysokie szczyty, z których można zapanować nad biernym chaosem świata i ruchy jego rozmiarować? Byłoby to możliwe, gdyby człowiek rozporządzał tylko środkami doskonałszej ameby i gdyby się kodeks bytu składał z jednego paragrafu — z popędu samozachowawczego? By zapanować nad biernym chaosem, trzeba być koniecznie czemś potężniejszym, czemś wyższym od tego chaosu.

Rozumie się, że rozum, mocarz tak wielki, iż potrafi zapanować nad całym światem, musi lekceważyć ludzkość i jej cele, jej „złudzenia.” Bo czemuż dla niego ludzkość, ta drobina wszechświata, „mrowiąca się przez czas pewien na globie.” Wszystkie interesy jej bytu maleją do takich iskierek martwych i bladych, że w płomiennych jutrzniach poznania giną mu z oczu bez śladu.

I rozumie się, że rozum tak rozległy, tak wysoko zmierzający, nie może się zajmować zabawką, tak pospolitą, jak praca dla swojego społeczeństwa, dla własnego kraju. Bo czemuż jest dla niego patryotyzm? — Ciasnym interesem lokalnym i plemiennym, najpospolitszą konkurencją miejsca i chleba, którą w formie hasel idealnych niosą na swych sztandarach wszystkie narody i które znają wszystkie ziemskie stworzenia. Ten sam instynkt kieruje lisem, gdy wypiera współzawodników z wawozu, gdzie wykopał swoją jamę, kieruje ludem sosen, gdy zwartą falangą zagarnia coraz dalsze ugory, trując gradem igiel słabsze, też życia spragnione roślinki. Różnica pomiędzy wyłącznością narodów a wyłącznością roślin i zwierząt zachodzi w tem tylko, że w państwie niższych tworów chęć bytu wypowiada się przed uchem myśliciela z całą lapidarnością pierwotnego stylu, a w życiu narodów przystraja się migotliwym kramem różnych dodatków i wyobrażeń.

Rozum tak chłodny, tak pewny siebie, nie wierzy „w światy gwiazdziste, w którychby mogło odżyć to, co rozbiło się na ziemi,” a wierzy tylko w żelazną konieczność bytu, która drży w falach eteru, a nas ludzi wychowawcą drogą przypadku i martwej selekcji w ten sposób, że z tęcz i dźwięków, odbitych w nas przez zmysły, budujemy sobie widma cnót i prawd, bóstw i obowiązków.

Wszystko, co mówi, co pisze do swojej kuzynki młody uczony w „Ad astra,” słyszeliśmy już tysiąc razy, umiemy na pamięć. Powtarza on w zarysie, markując punkty wytyczne, mądrość wiedzy materyalistycznej w ogóle, z tą tylko różnicą, że mówi ładniej, artystyczniej, plastyczniej od uczonych. Jest on niepospolitym stylistą. Jedynie może Renan lub Flamarion mogliby mu dorównać. Rzadko spotyka się u nas prozę tak barwną, a równocześnie logiczną.

Eliza Orzeszkowa i p. Romski prowadzą pycze rozumu aż do tych szczytów, gdzie najśmielszemu myślicielowi braknie tchu, gdzie duch ludzki omdlewa i albo łamie się, strzaskany pesymizmem, albo wraca do przytomności.

Bo jest kres wzlotów ludzkich, którego niedoświadczona młodość nie widzi, widzieć nie chce, bo na dnie analizującej myśli czyha zawsze trujący wąż zwątpienia. Nie wiedzieli tego, wiedzieć nie chcieli wszyscy młodzi wyznawcy niezawisłego rozumu, wszyscy racjonalisci, materyaliści i pozytywści, wszyscy oni wierzyli, jak młody uczony w „Ad astra,” „że po za władzą analizującej myśli niema dla życia żadnych dóbr, ani celów, i że gdy duch człowieka posiada w sobie dość siły, aby wstąpić na owe szczyty, już nie ziemskie, ale bożkie, nie ich już nie może z nich zciągnąć w niziny pospolitych celów i t. zw. ideałów ludzkich.” Wszakże twierdził młody Renan, że „uczeni staną się bogami.”

Ale życie, najlepszy mistrz człowieka ro-

zumnego, rozwiewa z czasem szalone marzenia pysznej młodości. Wszyscy wyznawcy niezawisłego rozumu, dojrzawszy, doświadczwszy na własnej skórze kruchości sił ludzkich, dochodzą do tego przekonania, do którego doszedł ostatecznie Herbert Spencer, że „prawdziwy mędrzec uczy się poznawać zupełną niemoc umysłowości człowieka we wszystkim, co przechodzi zakres doświadczenia. Wytwarza on sobie bardzo wyraźne pojęcie o ostatecznej niezrozumiałości najprostszego faktu, rozważanego w samym sobie; lepiej, niż ktokolwiek inny wie on i wątpi, że żadna rzecz nie może być poznana w swej istocie.”

Wielka szkoda, że młodzi mędrce nie chcą nigdy korzystać z doświadczeń starszych, że każde pokolenie rozpoczyna walkę z wiatrakami na nowo, jak gdyby przed nim nikt nie myślał, nie ludził się, nie rozczarowywał. Postęp ludzkości posuwałby się również pewniej naprzód, gdyby następcy budowali dalej, oparli się na pozytywnych zdobyczach poprzedników. Nie byłoby owych powtarzających się ciągle „*Sturm und Drang Periode*ów,” w których zużywa się, marnieje, wiednie tyle sił niepospolitych. Ale młodość lubi burzyć.

I młody uczony w „*Ad astra*” stanąwszy na zawrotnych szczytach myśli analitycznej, zrozumiał nareszcie, że przekroczył granice, zakreślone człowiekowi i wówczas załamał ręce i skarżył się: nie prawdę mówiłem, twierdząc, że jestem utożsamieniem prawdy absolutnej, pierwszej i ostatniej. Nikt jej nie zna. Im mędrszym czynią mnie lata pracy, tem odległość dzieląca mnie od prawdy, coraz więcej wzrasta. Wszystko, co u ludzi nazywa się wiedzą, jest tylko jej mglistym odbiciem, cieniem tego odbicia, cieniem cienia i wykładnikiem tak bardzo odsuniętym i pośrednim, że wiedza sama w sobie — mało się różni od wiary.

Trochę zawczasie, zanadto niespodziewanie nadchodzi to przejście od nierozumnej pychy młodości do świadomości lat dojrzałych. Autorowie nie przygotowali tej naturalnej ewolucji. Ale błąd to jedyny, błąd techniczny, nie obniżający bynajmniej wartości dzieła.

Spiewem „harfy, operlonej rosą łez serdecznych” jest druga część „*Ad astra*” — listy Seweryny, broniącej odwiecznych praw uczucia i jego dzieci: dobroci, miłosierdzia, miłości, patriotyzmu, poświęcenia, obowiązku. I hymnem wiary zrównoważonej, ukojonej duszy są te wonne kartki, w których czyste serce kobiecie broni „złudzeń” i „przesądów” ludzkości — tych biednych złudzeń, wyszydzonych przez rozum, a tak dobroczynnych, tak pożytecznych, tak gorliwie pracujących nad wyszlachetnieniem człowieka.

One, te listy niewieście, równoważą zgrzyty szermierza rozumu i one to są źródłem tego dodatniego wrażenia, z którym czytelnik odkłada książkę.

Teodor Jeske-Choiński.



PRZESTROGA.



Nie lataj orle odważny
Po nagich załomach skall
Mgła ciemna wstanie z przepaści,
Wiatr w oczy będzie ci wiał.
Nie wlatuj orle potężny
Na grzbiety spiętrzonych gór!
Tam czarne kłębią się chmury,
Tam ryczy piorunów chór!

Adela Koneczna.

PSYCHOLOGIA MODY.

Z niemieckiego podług W. Fred'a.

(Z cyklu głośnego dzieła „*Sztuka*,” wydawanego przez Ry-szarda Muth'a).



VII.

Im bliżej naszych czasów, tem bardziej zanika indywidualizm w Modzie. — Barwy i kształty. — Kilka wspomnień. — Rozmaite monstrualności mody i jej kaprysy, graniczące z okrucieństwem. — Przepis toalet dworskich za czasów pani de Pompadour. — Rogówka i krynolina. — Fa-za szali tureckich i kaszmirów. — Moda męzka. — Wolanty i treny. — Bezcelowość kształtów i barw. — Suknia „zreformowana” jest wobec tego również modnem zachęciem, a przeminie, jak wszystko modne. — Indywidualizm a Mo-da są w stosunku do siebie zasadniczym kontrastem.

Im bliżej jesteśmy współczesnej epoki, której początek — jak już kilkakrotnie zaznaczyliśmy — przypada na pierwszą połowę zeszłego, t. j. XIX-go stulecia, tem bardziej ginie w świecie Mody pomysłowa indywidualność. Już XVII-ty wiek generalizuje potrosze wszystkich i wszystkie. Oryginalne pomysły pod względem koloru, a nawet kroju kostymów, będące własnością indywidualną, choć nie ogólnego stylu nie psujące, jakie widać jeszcze na portretach renesansowych, znikają coraz bardziej. Rococo i Zopf kostumują już wszystko i wszystkich: strój, meble, ogrodnictwo, architekturę — po trochu i ducha. I smak coraz się zmienia. Nie tak szalenie często, jak w końcu zeszłego stulecia i obecnie, ale zawsze tak już szybko, że XVIII-ty wiek stworzył w Niemczech przysłowie: „Kto niedawno był dobrym krawcem, dziś nie wart i dytka.”

Nie wiele dziś można powiedzieć o kolorach modnych. Moda trwa sezon, z nim mija i barwa. Nie możnaby też ściśle oznaczyć, jaka talia w ostatnich czasach dominuje. Wszystko trwa mgnienie oka. Barwy i kształty jeszcze do czasu roccoco są tak charakterystyczne, że zaajomość kostymów staje się istotną nauką, i to nauką trudną, związaną ściśle z dziejami i ich stroną wewnętrzną. Trzeba znać epokę, aby charakter kostymu zrozumieć. Od lat 80-iu sezonowe żurnale mód, przedstawiające zawsze te same lalki, rozmaicie postrojone, stały się jedyną krynicą wiedzy i mądrości pod tym względem. Tak np. o całym stuleciu XV-em możemy powiedzieć, że było epoką ciasnych strojów, wymagających cienkiej a długiej talii. Wiek XVI-ty rozszerza te granice, wprowadza sznurówkę i gromadzi mnóstwo fałdów na spódnicy. Następne czasy wytwarzają znane określenie, dzielące strój żeński na trzy części, zwąc: górną — *la modeste*, środkową — *la friponne*, dolną *la secrète*.

Najpierw widzimy talię zaczynającą się wysoko, spódnica rozchodzi się w liczne fałdy, dół zdobny bogato w podwiązania, podkładki, złote oblamowania, sute hafty. Później rozszerza się wszystko coraz bardziej. A kiedy w XVII-ym wieku, w czasach mody hiszpańskiej, nastał zwyczaj sztywnych materiałów, zasłaniających coraz bardziej kształty, to zdawaćby się mogło, że moda ta przyszła na to głównie, aby sobie na jej podstawie pani de Pompadour obmyśleć mogła

rogówkę. I znów w inną patrząc stronę, widzimy, że wieki średnie lubują się w materiałach wzorzystych, głównie o kwiatowych deseniach i motywach; później modną jest arabeska. Barok lubi materiał gładzy, ale za to dozwala na większą różnorodność barw. Bardzo stare, preraphaelistyczne kostiumy, są przeważnie albo blado-niebieskie, albo mato-wo-czerwone. Trochę później barwa niebieska staje się rzadszą; dominują: czerwona, czarna, lub szafranowo-żółta. Wiek XVI-ty staje się coraz bardziej różnokolorowym, pstrym. Następne wieki stwarzają już naj-różnitsze *nuances*, czyli odcienia barw podstawowych, które przechodzą w tej samej mierze do sztuki dekoratywnej, budząc równocześnie zamiłowanie tego na palecie malar-skiej.

Już barokowa moda hiszpańska ograniczać zaczyna indywidualizm, pozostawiając pole do pomysłowości przeważnie mistrzom kunsztu, t. j. krawcom. Równocześnie zatracać się zaczyna pierwotna celowość rozmaitych części ubrania, a dekoratywność występuje coraz silniej, jako jedyna przyczyna różnych zmian w świecie Mody. To wszystko przysposabia doskonale grunt do podobnego nonsensu, jak za czasów pani de Pompadour, kiedy na dworze królów francuzkich istnieje długotrwały przepis, że rogówkowa spódnica dworska musi w przecięciu mierzyć 4 i pół łokcia. Należy w pokorze ducha przyznać, że rogówka, chwilowo zarzucona przez Rewolucję, później jednak raz jeszcze wznowiona, aż nareszcie przekształcona w coś podobnie ohydne, jak krynolina, jest wymownym dowodem, do jakiego stopnia kaprys mody usprawiedliwić może wszystko, nie tylko już naj-zupełniejszą bezcelowość, ale bezwzględny nonsens. Kaprys ten staje się zarazem okrucieństwem... Trudno pomyśleć, żeby przez przeciąg mniej więcej wieku, t. j. od nastania rogówki, do ostatecznego wyrugowania krynoli-ny, kobiety zmuszone były od czasu do czasu, na rozkaz Mody, nosić ze sobą i na sobie cały aparat drutów i żelaza, fiszbinów i sprężyn, najdziwniejszej konstrukcji, a znacznej wagi, który im przeszkadzał siedzieć i stać, chodzić i tańczyć. A jednak z prawdziwym zaparciem się siebie, z bohaterstwem, kobiecie tylko właściwem, znosiły to wszystko z uśmiechem, z pogodą umysłu, — tylko w imię Mody. Wtedy istotnie każda miała prawo powiedzieć z westchnieniem: *Qu'il faut souffrir pour être belle!* Z epoki tej znana jest anegdota. Celnik skromny, gdzieś na trzeciorzędym posterunku pomiędzy Francją a Niemcami, zmuszony zrewidować po raz pierwszy podobnego potwora o głowie kobiecej, którego dotychczas nie miał sposobności widzieć, nie mogąc odgadnąć przyczyny tego ukrytego pod suknią rusztowania, zapisał w księdze poborowej dochodów celnych: „15 franków za wózek dziecienny.”

Podobne dziwolągi poniżej talii, wymagają oczywiście odpowiednich nadzwyczajności i powyżej. O kształcie naturalnym niema mowy; znika zupełnie. To też tak rogówka, jak późniejsza krynolina, stosownie do wymagań sezonu, obmyśla różne inne fałszywe kształty, jak sztuczne biusty na sprężynach, udające wznoszenie się i opadanie za pomocą

sprężyn. Dość przytoczyć, że według cennika modnych „przyrządów“ z r. 1805-go, fabryka tychże w Paryżu sprzedaje sztuczny biust ze skóry cielistej w różnych odcieniach, z żyłkami i sztucznym oddychaniem po 7 ludwików (140 franków) za sztukę.

Rewolucya,—jak już wspomnieliśmy—czyni znaczną przerwę w tym kierunku. Kiedy Napoleon jako pierwszy konsul z Egiptu powrócił, nastaje moda wschodnich materyałów, delikatnych tkanin, prababki nasze nosić zaczynają szale tureckie, piękne a delikatne kaszmiry i t. d. Ale już około roku 1820-go wracają sztuczne druty i sprężyny, aż nareszcie po różnych przerwach, początek drugiego Cesarstwa wznawia rogówkę w kształcie krynoliny. Przed rokiem 1860-ym niknie ten potwór i już odtąd (prócz w t. zw. „turiurach“) nie powraca w całej pełni.

Około tego czasu moda męzka zaczyna się coraz bardziej z różnych sztuczności i obciśłości emancypować. Frak, jako ostatnia pozostałość „Zopfu“, jest tylko używanym do toalety urzędowej lub wieczorowej. Zresztą następuje era swobodnego ubrania, panująca zasadniczo — naturalnie ze zmianami kroju i t. d.— mniej więcej od pół wieku.

Ale mody żeńskie dalekie są jeszcze od tego wyzwolenia. To, cośmy na samym początku książki rzekli o możliwości wyzwolenia się z pod zbytniego despotozmu Mody za sprawą sportów, jest raczej życzeniem, bo jeszcze nie faktem. Wszystko podlega modzie, a więc i sporty. I one mogą przeminąć, jak wszystko inne, a z nimi i zapowiedź, częściowa dotąd jedynie, swobody mód żeńskich...

Dla ścisłości przypomnijmy jeszcze, że po roku 1850-ym wchodzi znów w użycie różnorodne *volants* przy materyałach, będące zresztą powtórzeniem czegoś podobnego z czasów barokowych. W roku 1865-ym wchodzi po raz pierwszy w modę *train*, czyli powłóczysty ogon, który znów przechodzi przez różne fazy i zmiany. W końcu XIX-go stulecia zanik wszelkiej indywidualności, pomysłu itp. dochodzi do zenitu. Istnieje tylko jedna jedyna uprawniona fantazyja twórcza — krawca i krawcowej, a z nią i dekoratora, tapicera i wszystkich tych, którzy mieszczą w sobie urzędowo sezonowość mody i jej groteskowych kaprysów. Powierzchniowy pół-smaczek, pół-guścik (czasem i tego niema) króluje w ubraniu, w meblach, w urządzeniu mieszkania.

Celowość, matka prawdziwych stylów różnorodnych, stylów trwałych, pełnych charakteru i powagi, niknie zupełnie. Im więcej mówi się o „stylach“, tem mniej się rozumie ich istotę, pojmując ich treść już tylko, jako powierzchowną ornamentykę i dekorację. Wobec tego niepodobna utrwalić w sobie wiary, aby to wszystko, co się dziś mówi na temat „zreformowanej sukni“, było również czemś innem, jak przejściowym kaprysem, także modnym, a więc bez jutra, jak wszystko inne.

To, cośmy powyżej rzekli o królujących w pewnych epokach barwach, stało się dziś niepochwytą grą kolorów, które bywają modne tak samo bez przyczyny, jak kształty. Wiek XIX-ty wprowadził kolejno wszelkie barwy, jedno po drugim, od dyskretnych do najjaskrawszych—zawsze bez żadnej po temu

racyi i przyczyny. Zaczęło się od panowania koloru białego, który np. pani de Récamier nosiła jeszcze jako 65-letnia matrona. Może to jedyna osoba w XIX-em stuleciu, z którą się wiąże trwalsze użycie pewnego koloru. Zresztą bylibyśmy w kłopotcie, gdybyśmy mieli jeszcze kogo z tych czasów przytoczyć. Wiadomo np., że pani Du Barry lubiła pewien odcień czerwoności, który po niej pozostał w pięknych wzorach porcelany Sevrskiej. Królowa Izabella hiszpańska, choć mimowoli, pozostawiła po sobie ową ciemną barwę żółtą, zwaną do dziś „izabelowatą“, stało się to z przyczyny, że kiedy wojsko hiszpańskie (1601) szło do Niderlandów, aby tam porządek na nowo zaprowadzić, królowa słubowała, że nie zdejmie koszuli, dopóki wojska jej nie zdobędą Ostendy; ale życzenie królowej spełniono dopiero po trzech latach, a przez ten czas koszula jej nabrała owej barwy, obecnie historycznej.—Dziś mamy i znamy tylko kolory sezonowe. „Zgniłe barwy“ zyskują sobie panowanie przez lat kilka, wchodząc chętnie i na paletę malarską. Impresyoniści z przed 20-tu laty wprowadzają znów surowość i jaskrawość: prerafaeliści chcą chwilo-wo podobno utrwać inne odcienia, ale wszystko to kończy się zawsze, jako bezcelowy kaprys bez jutra. W ogóle, pomimo jaskrawości barw, nazwy farb pierwotnych znikają — mamy nowe kombinacje, jak „beige“, „mauve“ i t. d. Jednakże i to jest tylko sezonowem. O Florentczykach z czasów Renesansu można było powiedzieć, że przez wysokie poczucie sztuki umieli nawet w stroju doprowadzić do indywidualizmu i stylowości.

W rozumieniu dzisiejszem pojęcie Mody wyklucza wszelki indywidualizm, będąc jego zasadniczym kontrastem.

(Ciąg dalszy nastąpi).



Kronika działalności kobiecej.



— Austro-Węgry. Cztery nowe studentki medycyny doktoryzowały się w uniwersytecie Peszteńskim, wszystkie cztery świetnie przebyły egzaminy i broniły rozpraw. Nazwiska ich: Irma Herzog, Helena Weinstein, Eugenia Charlotta v. Töth i Olga Frank.

— Paryż. Panna Bonnefois, siostra wędrownego przedsiębiorcy teatralnego, założyła w Paryżu szkołę dla dzieci, których rodzice zmuszeni są dla zarobku zmieniać miejsce zamieszkania. Do szkoły tej dzieci przyjmowane są od lat 5-ciu do 10-ciu. W lecie większą część czasu spędzają na powietrzu.

— Berlin. Towarzystwo znane pod nazwą „Jugendschutz“, (Ochrona młodości) otworzyło w zdrowotnej miejscowości, Neuzelle, kursa gospodarstwa i ogrodnictwa dla niezamożnych dziewcząt, które w domach, należących do Towarzystwa znaleźć mogą tanie i wygodne pomieszczenie. Kursy te, w połączeniu z pobytem, odpowiadającym wszelkim wymaganiom higieny, łączące niekiedy nawet warunki lecznicze, dla dziewcząt anemicznych, wyrosłych w niekorzystnych dla zdrowia warunkach wielkomiejskich, prawdziwem są błogosławieństwem. Pobyt na świeżem powietrzu i zajęcia w ogrodzie, zastępujące gimnastykę, jaknajlepsze wydają rezultaty, tak, że nauka zajęć gospodarskich, jak: gotowania,

pieczenia, sprzątania, prania, prasowania szycia i t. p., nie męczy nadwątłych organizmów. Towarzystwo zajmuje się wyszkoleniem pracy dla wychowanek, które zakład ukończyły i w dalszym życiu nie odmawia im opieki.

— Halla. Szkoła rysunkowa, techniczna, dla kobiet, przygotowuje tu przeważnie kobiety na rysowniczkę do biur technicznych i fabryk maszyn. Do rysunków tego rodzaju zbyteczne jest artystyczne uzdolnienie; tu chodzi jedynie o czystość i dokładność rysunku, wydobywanego przy pomocy linii i cyrkla. Podobną drugą szkołę otwiera w Halli szkoła eukrowarów, przy której kobiety kształcą się mogą w chemii. Kurs rysunków technicznych trwa miesiące cztery.

— Stany Zjednoczone. Na międzynarodowym geograficznym kongresie w Nowym-Yorku, prawie wszystkie prace, zgromadzone przez kobiety, doznały wyróżnienia. „Womans Journal“ podaje szczegółowe sprawozdanie z wyborów odczytów, wygłoszonych przez kobiety.

— W Stanie Colorado, miss Katarzyna Craig została rządowym inspektorem szkół publicznych. Miss Craig była jedyną kobietą na liście wyborczej. Tamże do komisji bibliotek publicznych weszły: Mrs. Charles Hughes i Mrs. William Fisher.

— W mieście Birmingham, w stanie Michigan, wybrano miss M. Baldwin do komisji szkolnej.

W Chicago mrs. Paul własnym wpływem i pracą dzielnicę miasta, znaną z brudu i opuszczenia doprowadziła do takiego porządku, że dzielnicę propagatorkę czystości obrano w poczet członków rady miasta, dodając jej w imieniu jej zasług tytuł honorowej obywatelki. (Wiadomości te czerpiemy z amerykańskiego pisma „Womans Journal“).

— Mieszkańcy Menominee (St. Michigan), sprawili owacy miss Gertrudzie Sawyer, młodej dziewczynie, która z narażeniem życia, sama jedna, podczas strasznej burzy przewiozła w łodzi pięcioro dzieci przez zatokę Green i uratowała od niechybnej śmierci. Młodej dziewczynie wręczono złoty medal.

— Nie mniejszą odwagę okazała miss Woods z Bostonu, dozorczyń chorych, należąca do misji „Alaska.“ Gdy posłyszała, że wśród Indian, w porcie Yukon, wybuchnął epidemicznie dyfteryt, na który w ciągu jednej doby zachorowało 125 Indian i umarło 25-ciu, miss Woods, nie namyślając się ani chwili pospieszyła do Yukonu z pomocą. Drogę przebyła nadzwyczaj uciążliwą; 100 mil angielskich przepłynąć musiała w łodzi, przez wody bardzo niebezpieczne. Wreszcie przybyła do biednych chorych, jak istny anioł miłosierdzia i ratunku. Doskonale wyćwiczona jako dozorczyń chorych, przywiozła z sobą wszelkie środki zaradcze, a dodać tu należy, że w Yukonie niema ani jednego lekarza, o środki zaś tak lecznicze, jak i ku dobremu odżywianiu służące, nader jest trudno.

— Przy odbyć się mających wkrótce, wyborach na prezydenta Stanów Zjednoczonych kobiety będą miały też prawo głosu. Jak donosi „Boston Herald“, przewodnicząca republikańskiej ligi kobiet, mrs. Elen Forster, odbyła właśnie objazd po czterech Stanach Południowych, w których kobiety mają pełne prawo głosu, w celu zapewnienia głosów partii republikańskiej. Przypuszczają, że kobiety Stanu Utah, po większej części Mormoni, głosować będą za Rooseveltem. Tak samo Stan Wyoming okazuje żywą sympatię dla obecnego prezydenta. Natomiast w Idaho partya Parkera jest silniejsza. W Colorado szanse obu kandydatów zdają się być równe. Wiele dzienników z uznaniem odzywa się o kobietach, mających prawo głosu, dowodząc, że kobiety mniej poddają się agitacyjnym wpływom, niż mężczyźni.

Z. S.

Kronika.



— W czasie pobytu tegorocznej pielgrzymki polskiej w Rzymie, Ojciec św. Pius X-ty udzielił błogosławieństwa Apostolskiego wydawnictwu „Dzwonek Częstochowski,” wychodzącemu w Częstochowie pod redakcją księdza Józefa Adameczyka, a poświęconemu czci Najświętszej Maryi Panny.

Jest to niejako odnowieniem błogosławieństwa, udzielonego temuż wydawnictwu przed dwoma laty przez zgasłego Papieża Leona XIII-go.

— Dnia 15-go b. m. upływa pierwszy rok istnienia Instytutu Hygieny dziecięcej imienia barona Lenvala w naszym mieście. Może nie obojętną będzie dla ogółu czytelników wiadomość o statystycznych danych ilustrujących działalność Instytutu w przeciągu dziewięciu miesięcy, od d. 1-go Stycznia r. b. po dzień 1-go Października. W ciągu tego czasu wydano kąpiele 9,482, z urządzeń do gimnastyki korzystało 601 dzieci, ostryżono 547, zaszczepiono ospe 9,127, pomocy dentystycznej udzielono 262 dzieciom, porcy mleka rozdano 29,124.

W ambulatorium udzielono porad w chorobach wewnętrznych 3,306, nerwowych 45, chirurgicznych 491 ocznych 124, jamy ustnej i gardła 168, skórnych 158, ogółem 4,292. W specjalnym oddziale przeciwgruźliczym urządzonym z inicjatywy d-ra Sokołowskiego, udzielono porad 43.

Oplatę za takową poradę, zabierającą więcej czasu i starania, postanowiono podnieść z 10 na 15 kop., licząc w to lekarstwo i zabieg wstępny, jak np. postawienie baniek. W dziale higienicznym opłata za kąpiel zniżoną została z 5 na 3 kop., aby udostępnić jak najszerszym warstwom ludności korzystanie z urządzeń Instytutu i przystosowywania się do wymagań higieny. Z innych spraw na temże posiedzeniu komitetu omawianych, przedstawiono ostateczne rachunki z budowy i instalacji. Pierwotny kosztorys przewidywał potrzebną sumę rubli 57,835 kop. 39, tymczasem po wykonaniu okazało się, iż koszt rzeczywisty wyniósł rubli 53,150 kop. 64. Tym sposobem Instytut z przewyżki pozostałej rubli 4,684 k. 75, pokrył urządzenie wewnętrzne, bieliznę i inne kosza.

— Dnia 27-go z. m. rozstrzygnięto konkurs na halle targowe, o czym w swoim czasie donosiliśmy. Z szeregu nadesłanych projektów wyróżniono trzy następujące do nagrody: pierwszą w summie rubli 500 przyznano pracy opatrzonej godłem „Alfa,” której twórcą jest budowniczy Henryk Gay. Drugą, w kwocie rubli 300 za projekt pod godłem „Syrena,” który wykonał budowniczy Józef Holewiński, wychowaniec politechniki warszawskiej, trzecią w ilości rubli 150 otrzymał autor projektu pod godłem „Trzy kwadraty,” budowniczy Hugo Kuder.

— W uzupełnieniu notatki zamieszczonej w zeszłym numerze o odsłonięciu pomnika Adama Mickiewicza we Lwowie w dniu 30-y z. m., podajemy jeszcze kilka następujących szczegółów:

Pomnik jest dziełem artysty-rzeźbiarza Antoniego Popiela. Na obchód przybył syn poety, Władysław Mickiewicz. Po odprawieniu solennych nabożeństw w świątyniach katolickich, protestanckich i synagodze, uroczystość rozpoczęto odspiewaniem przez chór złożony ze 150 osób kantaty Niewiadomskiego, poczem professor Bronisław Radziszewski w imieniu komitetu oddał pomnik w ręce miasta. Prezydent miasta, d-r Godzimir Małachowski w podniosłej przemowie przyjął w opiekę i posiadanie nowe dzieło, powstałe w hołdzie dla geniusza-poety. Sekretarz komitetu, Rolle, odczytał akt pamiątkowy.

Oprócz wyżej wymienionych przemawiali: Downarowicz, poseł Bojko i Hudec. Trybuny wokoło pomnika zajęli: Stanisław hr. Badeni, marszałek kraju, na czele sejmu, biskupi, dygnitarze, rada miejska i licznie przybyli goście. Po odsłonięciu pomnika nastąpił pochód hołdowników, którzy złożyli wieńce i kwiaty, a trwający przeszło trzy godziny. Cztery orkiestry przygrywały na zmianę.

W Kassynie miejskiej odbyła się uczta dla członków komitetu i przybyłych gości. Wieczór Mickiewiczowski wypełniło widowisko w teatrze miejskim. Prolog napisany przez Stanisława Rosowskiego wygłosiła Irena Solska. Odegrano akt z „Konrada Wallenroda” Władysława Żeleńskiego, Irena Bohus-Hellerowa wypełniła część wokalaną koncertu. Po przedstawieniu odbył się olbrzymi raut, w którym wzięło udział przeszło dwa tysiące osób. Miastu przybył nowy piękny pomnik, jako widomy znak uczuć dla nieśmiertelnego poety w hołdzie wniesiony.

— Pani Anna Grudzińska, jako członek czynny uniwersytetu Clarka (Worcester—Ameryka) ma możność korzystania z rozpraw i sprawozdań wychodzących staraniem Uniwersytetu, w zamian za nadsyłanie prac i referatów w języku angielskim. P. Grudzińska przesłała dane, co do umysłowości naszych włościan, dzieci klas średnich, dziatwy szkolnej, nadto przelożyła na język angielski prace pedagogiczne p. A. Szycońny; obecnie p. Grudzińska zajęta jest przekładem z Błażka p. t. „Znużenie w szkole.” Natomiast z otrzymanych broszur od uniwersytetu p. G. czyni użytek, przyswajając nam ważniejsze z nich. I tak: jedna umieszczona została w warszawskim „Przeglądzie Pedagogicznym,” cztery zamówiono do „Reformy szkolnej,” nowo-powstałego pisma, mającego wychodzić w Galicyi, pod redakcją Adama Szymańskiego. Najważniejszą z dotychczasowych prac p. G. jest tłumaczenie „Wielku młodzieńczego” d-ra G. St. Halla i E. G. Lancaster'a, którzy powzięli myśl opracowania wyczerpującego dzieła w sprawie młodzieży. Dociekania swe oparli na rozesłanym kwestyonariuszu, z którego 827 nadesłanych odpowiedzi, posłużyło im jako materiał do podjętej w tym kierunku pracy wieloletniej. Przewodniczącym uniwersytetu Clarka jest wyżej wzmiankowany prof. d-r G. Stanley Hall, P. Grudzińska przy współdziałaniu prof. K. Króla przyswoiła nam to cenne i naukowe studium psychologiczno-pedagogiczne. O wydawnictwie tem pomówimy na innym miejscu.

— We Lwowie Koło pań imienia Sienkiewicza urządziło kursa dla analfabetek służących.

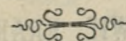
— Znana i utalentowana pianistka, a rodaczka nasza p. Natalia Janothówna, została obdarzona przez królestwo Anglii zaszczytnym adnaceniem „For Art and Science.” Dotychczas podobne oznaki uznania otrzymały Melba-Alboni, śpiewaczka, i lady Halle.

— Prof. F. A. Hora, znany pisarz czeski, który w bieżącym miesiącu obchodzi 50-letni jubileusz swego zawodu, zorganizował w Pilźnie bezpłatny kurs języka polskiego dla wszystkich uczniów szkół średnich. Wykłady prowadzi sam sędziwy professor, a odbywają się one wieczorem od godziny 6-iej do 7-iej. Z uznaniem podnieść należy zasługę współrodaka, który ze szczerzego zamilowania rozpowszechnia znajomość naszego języka wśród Czechów.

— W Leicester, w Anglii, panna Gertruda Petzold, objęła stanowisko duchownej w wolnym kościele Unitaryuszów. P. Petzold jest pierwszą kobietą, która w Anglii stanęła na ambonie, jako „kaznodziejka.” W słowach prostych, lecz porywających, wygłosiła mowę, która na słuchaczach zrobiła dodatnie wrażenie. Panna Petzold urodziła się w Toruniu i jest córką oficera pruskiego. Użytkowała patent nauczycielski w Szczecinie, udała się do Szkocji na wyższe studia. Ukończyła Uniwersytet św. Andrzeja ze stopniem *magister artium*. Teologię studiowała w Uniwersytecie berlińskim i w Manchester-College. Podobno w Ameryce istnieje już 35 kobiet duchownych w sekcjach Kongregacyonistów.

— Dnia 24-go z. m. zmarł we Lwowie ś. p. *Apollinariusz Jaworski*, przedstawiciel polityki galicyjskiej, prezes Koła polskiego w wiedeńskiej Radzie państwa. Czas ja-

kiś zajmował stanowisko ministra dla Galicyi, dopóki nie objął go Kazimierz hr. Badeni. Do ostatnich chwil życia czynny i pracowity, położył liczne zasługi dla sprawy, której był przedstawicielem. Dożył sędziwego wieku 80 przeszło lat.



Nadesłane nowości.

Zygmunt Różycki. „Liliowe śnienia.” Poezye. II. Kraków, Gebethner i Spółka w Krakowie, Gebethner i Wolff w Warszawie, 1905, str. 73.

E. Tarde. „Opinia i tłum,” przekład K. Skrz. Warszawa, 1904. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 155.

Ksawery Sporzyński. „Dziwy elektryczności.” Wydawnictwo popularne z 47 rycinami w tekście. Warszawa, 1904. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 268.

Ryszard Muther, prof. „Historia malarstwa.” IV. Malarstwo w epoce baroku. Wiek złoty malarstwa niderlandzkiego. Przełożył Stanisław Wyrzykowski. Warszawa, 1904. Nakładem Jana Fiszera, str. 142.

Tadeusz Sierżputowski. „Pierwsza próba reformy politycznej w Polsce.” Warszawa, 1905. Nakładem Jana Fiszera, str. 86.

Michał Synoradzki. „1814—1830.” Opowiadania dziejowe. Warszawa, 1905. Nakład i druk St. Niemiry Synów, str. 194.

Michał Synoradzki. „Judasze srebrniki,” powieść historyczna. Warszawa, 1905. Nakładem St. Niemiry i Synów.

Stanisław Nałęcz Ostrowski. „Przed burzą,” powieść historyczna z XV-go wieku z cyklu „Półksiężyc a krzyż,” Warszawa, 1905. Nakład Gebethnera i Wolffa, str. 342.

Jan Stanisław Mar. „Samotni,” powieść. Warszawa, 1905. Nakład księgarni A. G. Dubowskiego, str. 250.

Emil Duclaux. „Hygiena społeczna.” Tłumaczył dr Z. S. Wydawnictwo „Ogniwa.” Warszawa, 1904.

Treść numeru:

Przed nowym kwestyonariuszem, przez Zofię Seidlerową. — Jad, powieść, przez Maryana Gawalewicz (ciąg dalszy). — Z rozmyślań jesiennych (wiersz), przez Bożymira. — Historia kobiety, studium historyczne, przez Julię Terpilowską (ciąg dalszy). — Miliarderki: V. Pani Hetty Green. — Obrazy z przeszłości niewiast, przez Maryę Łopuszańską (ciąg dalszy). — Kwiaty i chwasty, przez Teodora Jeske-Choińskiego. — Przestroga (wiersz), przez Adelę Koneczną. — Psychologia mody, z niemieckiego podług W. Fred'a (ciąg dalszy). — Kronika działalności kobiecej, przez Z. S. — Kronika. — Nadesłane nowości. — Ogłoszenia.

Do dzisiejszego numeru dołącza się arkusz 14-ty „Robotnic w Stanach Zjednoczonych” Van Vorst'a, w przekładzie J. P.

Dodatek: Opis ubiorów i robót (rycin 25). — Przepisy kuhenne, oraz Tablica krajów.

Zapowiedziana przez Redakcję tygodnika „Bluszcz”

KSIAŻKA ZBIOROWA p. t.

„KOBIETA WSPÓŁCZESNA”

zawierająca prace najcelniejszych autorek i autorów, objętości 366 str. wielkiego formatu opuściła prasę i jest do nabycia w administracji „Bluszcza.”

Prenumeratorki „BLUSZCZU” płać za powyższe dzieło tylko rb. 1.

Przesyłka pocztowa kop. 40.

Cena księgarska rb. 3.

GŁÓWNY SKŁAD ŻYRARDOWSKI

w WARSZAWIE, KRAKOWSKIE PRZEDMIEŚCIE № 55.

Poleca na sezon jesienny:

Plótna, Stołową bieliznę, Ręczniki Chustki i t. p.
Wyroby pończosznicze

Bieliznę męską białą i kolorową
Flanele, Barchany, Materyały puchowe
Firanki, Dywany, Portjery, Kapy na łóżka, **Pledy.**
Koldry wataowane, pluszowe, flanelowe i t. p.
Dreluchy na rolety i materace.

Oddział damskiej konfekcji posiada w wielkim wyborze:
Bluzki, Szlafroczy, Peniuary, Spódnice,
oraz **gotowe wyprawy od Rb. 100.**

Na zamówienie. bielizna stołowa z wrobionymi herbami i znakami.

Niespodzianka dla Pań!



**Nowo - wynaleziona maszynka „HAFTO-
GRAF”** do artystycznego wyszywania; XX wiek tak
bogaty w rozmaite wynalazki, i dla pań przyniósł iście
piękną nowinkę „Haftograf,” za pomocą którego każ-
da z pań, bez poprzedniego przygotowania i żadnego
trudu może wyszywać na serwetkach, dywanach, portje-
rach, poduszkach i t. p. rozmaite desenie. Robota bar-
dzo przyjemna, nieszkodliwa dla wzroku, nie męczy orga-
nizmu. Za pomocą „Haftografu” można wyszyć w godzinę
więcej niż ręką przez cały dzień. „Haftograf” zagra-
nicą tak jest rozpowszechniony, że prawie niema domu, gdzie-
by go nie używano. Stanowi to bardzo przyjemną rozrywkę.

Cena z przesyłką rub. 4 kop. 85, za zaliczeniem 10 kop. drożej.
Ilustrowany sposób użycia dołącza się bezpłatnie.

Piękne desenie w rozmaitych kolorach do haftu poduszek po 20,
25, 30 i 40 kop. sztuka, do haftu dywanów 40 kop. Prosimy się przeko-
nać. Nie dla zarobku, lecz dla próby wartości „Haftografu” wysyłamy
fantazyjny deseń w cenie 3 rb. na przesyłkę, poduszkę wyhaftowaną na
dobrem kolorowym suknie.

Prosimy o odwołanie się na niniejsze pismo.

J. FRANCUZ, Królewska Nr. 49 P. w Warszawie.

KWIATY SZTUCZNE

J. KIEŁKIEWICZ

NIECAŁA IO.

Na sezon jesienny poleca w wielkim wyborze kwiaty do kapeluszy, balowe, oraz
girlandy ślubne; według modeli paryskich. Ubieranie żardinier, koszów, wazonów;
rośliny doniczkowe. Dekoracje stołowych pokoi pięknymi owocami sztucznymi

Ceny niskie

Towarz. Udoskonalonej Perfumeryi

A. RALLET & Co

Dostawcy Dworu

WARSZAWA, UL. WIERZBOWA № 7.

Poleca:
Perfumy,
Mydła i
Wodę Koloniską

„Szampaca”

Do nabycia w Perfumeryach i Skł. Aptecznych.

NOWOŚĆ!

Wzory dziurkowane do haftu,

które każda z Czytelniczek naszych może posiadać zeszyt składający się
z 7-iu arkuszy i zawierający dziurkowane desenie wszystkich liter alfabetu,
kilka odmian kwiatów i motyli stylizowanych, ząbki i ozdoby brzegów,
całe desenie na małe serwetki, ramki stosowne na podarki i t. d. Cenę
zeszytu wraz z proszkiem w dwóch kolorach (czarny na materyały jasne
i jasny — na ciemne) oznaczyliśmy na kop. 50 wraz z przesyłką pocztową,
(wykluczając zaliczenia pocztowe, za które pobieramy 10 kop. więcej).

Niezależnie od zeszytów, które mamy na składzie i od cen takowych, przyjmujemy
również zamówienia na które dostarczyć możemy w krótkim czasie wszelkich
żądanych wzorów dziurkowanych na pasy na stół, serwetki, poduszki na
kanapy, kołnierze, wyłogi, mankiety, całe suknie, monogramy, roboty point-
lace i t. p. Do zamówienia dołączać należy wielkość żadanego deseni w cen-
tymetrach, jeżeli zaś idzie o suknie, lub o jej części składowe, prosimy o przy-
słanie formy papierowej, oraz dokładnego opisu rodzaju ozdoby i stylu (za-
kopiański, arabski, grecki, rococo, renaissance, gotyk, chiński, japoński,
scesya i t. d., lub fantazyja).

Listy należy adresować do Administracji „Bluszczu” Nowy Świat 41,
w Warszawie.

Specjalny Magazyn Bielizny i Konfekcji Damskiej

L. GAŁKOWSKIEGO

138. Marszałkowska 138.

Poleca bieliznę w wielkim wyborze, jako też: Krawaty, Spinki, Laski, Parasole
i wyroby trykotowe francuskie. **Najlepszy krój koszul męzkich.**

DLA OSZCZĘDNYCH PAŃ!

Otworzyłam Zakład Krawiecko-Reperacyjny. Najstaranniej przerabiam, reperuję, poprawiam suknie, źle skrojone
okrycia, futra, krój francuski, piórę chemicznie, farbuję, przerabiam kapelusze.

„HELENA”, Marszałkowska 119, m. 8.

Księgarnia J. Fiszera, Nowy-Świat 9 w War-
szawie — zaleca dzieła pedagogiczne **Reussne-
ra** do bardzo prędkiej i najłatwiejszej nau-
ki **Języków Obcych, bez nauczyciela** z obja-
śnieniem wymowy i z kluczem pod tyt.:

Polsko-Niemiecki kurs wstępny (Ele-
mentarz) po k. 5, 12, 24 i 40; kurs
I-y k. 80, kurs II-gi rb. 1.60.

Rusko-Niemiecki po kop. 5, 12, 24,
40 i 2.20.

Polsko-Francuski kurs I-y k. 1.20;
kurs II-gi rb. 3.20.

Gramatyka Polsko-Francuska
kop. 1.20.

Wypisy Francuskie kop. 80.

Polsko-Angielski kurs I-szy kop. 75;
kurs II-gi kop. 1.20.

Amerykański Przewodnik kop. 50 i 5.
Polsko-Ruski Elementarz po kop. 5.

12, 24, 40; — kurs I-y kop. 1.40; —
kurs II-gi kop. 1.80.

Magazyn **E. LOTH**

Krakowskie Przedmieście Nr. 9 m. 4.

Zawiadamia Sz. Kliencę, że z d. 3-go

Listopada rozpoczyna się

Wyprowadz

po cenie kosztu wszystkich kapeluszy
przygotowanych na sezon bieżący, która trwać
będzie aż do całkowitego rozprzedania nagroma-
dzonego towaru.

Poleca się również osobom interesowanym

Szkołę

Modniarstwa i Kwaciarsstwa

egzystującą przy tymże magazynie kurs

4-ro miesięczny

Zapis nowowstępujących uczennic codziennie.

PERWSZORZĘDNE BIURO NAUCZYCIELSKIE

ANTONINY PIASECKIEJ

poleca nauczycieli, nauczycielki,

bony sprowadza cudzoziemki

Warszawa, Świętokrzyska 20 przy Mazowieckiej.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

„Z A Ł Ę S K I”

przeniesione z ul. Berka na ul. Mazowiecką № 3,

tel. 4214; poleca: nauczycielki, nauczycieli, bo-

ny, sprowadza Francuzki z własnego biura

w Paryżu.

Pierwszorządne Biuro Nauczycielskie

B. GOLCZEWSKIEJ, Marszałkowska 94.

Poleca: Nauczycieli, nauczycielki, bony pol-
ki, niemki, francuski sprowadza z zagranicy
angielski.

Biuro Rekomendacyjne

WASILEWSKIEGO

b. nauczyciela gimnazjum

Marszałkowska 123.

Polki, niemki, francuski, angielski.

BIURO NAUCZYCIELSKIE

GRETILLAT

Ś-to Krzyżka 15.

Poleca: nauczycielki, bony cudzoziemki, gospo-

dynie, panny służące.

Dr. OSKAR GOLDBERG

AKUSZER powrócił

Wielka 47.—Telefon 4670.

Fabryka Konkursowych

Antigorsetów „Platinum”

p. f. **„HIGIENA”**

Warszawa, Senatorska 32.

poleca po cenach możliwie umiarkowanych przed-

mioty następujące:

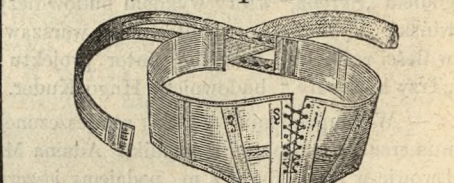
ELASTYCZNE GORSETY Pabsta

(nie gumowe) w różnych kolorach

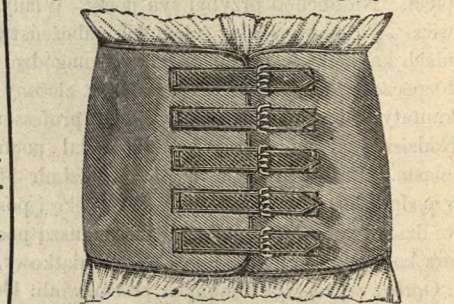
po 5 rb. 75 kop. i jedwabne po 10 rb.



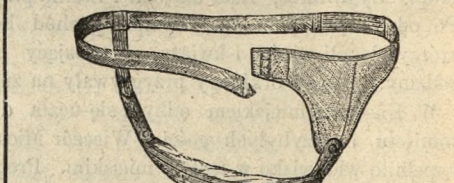
PASY BRZUSZNE najnowszego sy-
stemu, b. trwałe po 5 rubli.



PASY POPOŁOGOWE dla odzyska-
nia pierwotnego obwołu brzuszno po 3 rb.



PASY HYGIENICZNE (menstruacyj-
ne) z 12-ma poduszkami — po 2 rb. 2.25 k.
Poduszki zapasowe 1 rb. 1.20 k. tuzin.



Zlecenia zamiejscowe wysyłamy akuratanie za za-
liczeniem, doliczając za przesyłkę **50 kop.**
Przy zamówieniu gorsetu elastycznego należy po-
dać obwód talii (mierząc wokół na staniku)
oraz długość przedniej brytki. Zamawiający pasy
brzusne lub popołogowe, zechcą podać obwód
brzucha naokoło w najcięższym miejscu.

Wydawca: **Piotr Laskauer.** — Redaktor: **Maryan Gawalewicz.**

Доволено Цензурою. Варшава, 21 Октября 1904 г.

Druk Piotra Laskauera i S-ki, Nowy-Świat 41